Ostrzeżenie! Czasopismo zawiera wulgarne słowa oraz nieprzyzwoite, a nawet antyrządowe i przeciwkościelne treści.

ISSN 0867-2237 nr indeksu 367125

CENA 4,90 zł w tym 8% VAT NR 25 (1500) 21–27 czerwca 2019

Komary są teraz gorsze niż Kluby „Gazety Polskiej". Bohaterski naród polski boi się atakować te owady. Wobec Hitlera i Stalina byliśmy odważniejsi.

TYGODNIK COTYGODNIOWY

Co puszcza Ziobro str. 6

Boski Rokossowski str. 13

Żądamy bomby atomowej!

Polska idzie na wojnę

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

MACIEJ MIKOŁAJCZYK

Po wypadzie prezydenta Dudy i ministra Błaszczaka za wielką wodę pisiory zapiały, że **„Polska stała się sojusznikiem Waszyngtonu nr 1 zamiast Wielkiej Brytanii oraz partnerem politycznym nr 1 w Unii Europejskiej w miejsce Niemiec".** Status hegemona uzyskaliśmy, albowiem prezydent Donald Trump obiecał, że podeśle nam 2 bataliony wojaków i eskadrę dronów oraz sprzeda 32 samoloty, a oczywiste jest, iż prezydent USA byle chłystkom takich obietnic nie składa.

To, że 1000 żołnierzy, choćby każdy zjadł 1000 wołowych kotletów, Moskwy z dymem nie puści, a drony będą sterowane z Waszyngtonu, zaś **„zebrane przez nie informacje udostępniane Polsce stosownie do okoliczności",** czyli gdy jankesi uznają, że to dla nich korzystne, to mały pikuś. Duży: przy okazji pląsów wokół zakupu myśliwców F-35 ukazała się prawdziwa facjata polsko-amerykańskiej przyjaźni i naszej roli na arenie międzynarodowej.

Podejrzana konduita

F-35 to myśliwiec nowoczesny, ale i piekielnie drogi – za sztukę trzeba płacić ok. 90 mln dolarów. Do tego dochodzą szaleńcze koszty utrzymania i kosmiczne ceny części zamiennych. Np. śruba podtrzymująca silnik, a więc urządzenie nieprzekraczające zdolności technologicznych montowni typu Polska, kosztuje 45 tys. dolarów. W 2016 r. upragnione przez Polaków statki powietrzne skrytykował Trump, bo wyszło na jaw, że program budowy i wdrażania ze względu na wysoką awaryjność pochłonął prawie 1,2 bln dolarów – o 70 proc. więcej, niż planowano.

Business Insider, prestiżowy portal amerykański, co roku na podstawie raportów urzędów i analiz ekspertów od zbrojeń przedstawia ranking najgorszych projektów realizowanych przez US Army i finansowanych przez państwo. W 2017 r. F-35 zajął pierwsze miejsce. Projekt uznano za największą wpadkę ze względu na gigantyczne koszty i **„problemy z niezawodnością i dostępnością".** Delikatnie mówiąc, jest to więc statek podejrzanej konduity.

Na klęczkach

Dotychczas jankesom udało się sprzedać 400 maszyn do piętnastu krajów, ale w program budowy F-35, oprócz USA, inwestowały inne państwa, a trudno nie kupić samolotu, w którego powstanie władowało się, jak w przypadku Wielkiej Brytanii, miliardy dolców.

Tyle że gracze większego formatu niż Polska, kupując F-35, nie lizali jankeskich tyłków. Turcji w zamian za transakcję obiecano zamówienia dla przemysłu za kwotę równą cenie samolotów (16 mld dolarów), Norwegia ma u siebie centrum serwisowe F-35, a Belgia tak długo zwodziła Amerykanów, że chce kupić Eurofightera Typhoon lub Rafale, myśliwce produkowane w Europie, aż zmiękli. I nie tylko obniżyli cenę, ale dodali bonusy w postaci darmowych szkoleń pilotów, budowy infrastruktury i pokrycia kosztów utrzymania statków powietrznych do 2030 r.

Polska szanse na osiągnięcie jakichkolwiek korzyści pogrzebała na długo przed wyprawą Dudy i Błaszczaka za ocean, bo na klęczkach łatwo jest chwycić frunącą hostię, ale negocjować trudno.

Polska napalona

MON chce wydać grube miliardy na 32 samoloty w trybie spopularyzowanym przez Jarosława Kaczyńskiego, czyli bez żadnego trybu. **„Pozyskanie samolotu wielozadaniowego nowej generacji, który wprowadzi nową jakość w działaniach lotniczych"** Błaszczak wpisał bowiem do Planu Modernizacji Technicznej Sił Zbrojnych, co **„w przypadku wystąpienia pilnych potrzeb operacyjnych"** pozwala na dokonywanie zakupów z wolnej ręki. A pilna potrzeba, zdaniem ministra, występuje.

Pod koniec zeszłego roku resort wysłał zapytania ofertowe nie tylko do produkującego F-35 Lockheeda Martina, ale także do Boeinga, Saaba i Eurofightera. Wydawało się, że zachowa choćby pozory bezstronności. Miesiąc później minister obrony ogłosił jednak, że **„F-35 to samolot, który podniesie poziom zdolności bojowych Wojska Polskiego wielokrotnie wyżej niż obecnie, to jest klucz do sukcesu, to jest sprzęt najnowszy, najlepszy, to jest przedsięwzięcie, które przygotowujemy i które dopełnimy – jestem o tym głęboko przekonany – w stosunkowo krótkim czasie".** Innymi słowy przyznał, że Polska jest napalona, a sprawa wyboru maszyny przesądzona.

Amerykanie zatarli ręce.

Substancja metafizyczna

Nawet uwzględniwszy wyjątkowe walory intelektualne Błaszczaka, miesiąc to zbyt mało, by wybrać dostawcę menażek wojskowych, a co dopiero nafaszerowanych elektroniką maszyn bojowych. Co tu kryć, zwykli Polacy więcej czasu poświęcają na wybór używanego samochodu finansowanego z programu „500 plus", niż Błaszczak poświęcił na wyłonienie producenta samolotu skomplikowanego daleko bardziej niż rakieta, za pomocą której Gagarin poleciał w kosmos. Belgowie sposobili się do takiej transakcji latami, gromadząc dane i przygotowując strategię negocjacyjną; nie przyszło im do głowy, by zdradzać ochotę na efa, do końca za to prowadzili gry mające zmiękczyć uczestników postępowania przetargowego. W zgniłej, zdeprawowanej i zlaicyzowanej do cna Europie nikt nie odważyłby się kupić samolotów bez przetargu, bez długoletnich przygotowań, analiz i bez twardych negocjacji, o wiernopoddańczym błaganiu Amerykanów, by okazali łaskę i zechcieli sprzedać, nie wspominając. W Polsce wielkiej, dumnej i srającej wartościami przetarg jest niepotrzebny, a porównywanie wad i walorów konkurencyjnych maszyn zbędne, bo – jak to wyraził Andrzej Przyłębski, ambasador RP w Berlinie i mąż prezeski trybunału z dykty – **„politycy PiS mają w sobie metafizyczną substancję".** Zapewne dzięki metafizycznej substancji Błaszczak uzyskał dostęp do prawdy objawionej, dlatego nie trwonił czasu na procedury, namysły i przekomarzanki z jankesami, tylko od razu wyjawił, że pragnie F-35 równie żarliwie, jak pogłaskania po główce przez prezesa Kaczyńskiego.

Zaopatrzony w substancję metafizyczną prezydent Duda wtórował zaś ministrowi, wołając, że **„jest kolejka, wiele państw na te samoloty czeka i my musimy do tej kolejki wejść".**

Po przełomowej wizycie w USA wyrażono zachwyt z powodu możliwości wywalenia miliardów na kontrowersyjne maszyny (Błaszczak: **„Wkrótce dołączymy do elitarnego grona państw, których siły powietrzne posiadają te najnowocześniejsze samoloty"**), ostatecznie pozbawiając Polskę możliwości zachowania twarzy i osiągnięcia znaczniejszych bonusów. Wygląda na to, że pisuary za samoloty zapłacą ustaloną za oceanem cenę, grzecznie pokłonią się amerykańskiemu panu, stukną obcasami i nadal będą śnić o potędze.

Scenariusze zagłady

Wycofać się nie mogą choćby z tego powodu, że prezydent Duda podczas pobytu w Stanach mało nie wywołał wojny z Rosją. Zapytany przez dziennikarzy o relacje Polski z Federacją Rosyjską, odparł, że bardzo by chciał, żeby te relacje były jak najlepsze, **„bo to nasz wielki sąsiad z potencjałem większym niż Polska pod każdym względem, z jednym wyjątkiem – jest w nas więcej odwagi, jesteśmy dzielniejsi, odważniejsi i zdolni do walki aż do końca, nie bacząc na cokolwiek".** Prof. Krystynie Pawłowicz od razu przyszło do głowy, że Putin może sprawdzić, czy rzeczywiście jesteśmy tacy odważni. I nie pomyliła się. Najpierw głos dał przewodniczący Komisji ds. Polityki Informacyjnej Rady Federacji Aleksiej Puszkow, każąc Dudzie, żeby poduczył się historii, potem w rosyjskich mediach pojawiły się liczne scenariusze zagłady Polski, nie wyłączając tych z użyciem broni jądrowej.

Dokończenie na str. 14

ISSN 0867-2237 INDEKS 367125 25 9 770867 223904

eprasa.pl 5baaa01084

Tydzień z głowy

Podczas wizyty w Stanach prezydent Duda wyznał miłość prezydentowi Trumpowi. Prezydent Trump, znany zwolennik płatnej miłości, wystawił prezydentowi Dudzie słony rachunek: za wojsko, drony, gaz i samoloty.

Trump dał znać, że być może za 3 miesiące, gdy być może przyleci do Polski na obchody 80. rocznicy wybuchu II wojny światowej, być może ogłosi, że Izba Reprezentantów być może zniesie wizy dla Polaków. Być może skorzystamy.

Urzędnicy Dudy jeden przez drugiego zaklinali się, że prezydent nigdy w życiu nie ułaskawi Marka Falenty, który narobił pisowcom kłopotów listami wysłanymi do Kaczyńskiego, Morawieckiego młodszego i właśnie Dudy. W listach są niedwuznaczne sugestie, że 6 lat temu Falenta kazał podsłuchiwać głównie polityków Platformy Obywatelskiej na zlecenie polityków Prawa i Sprawiedliwości.

Falenta ma się więc za ojca dobrej zmiany. Z tego powodu – jak domyślają się eksperci – zostanie uznany za niepoczytalnego, wyjdzie z pudła, a karę odbędzie w sanatorium.

Przed sejmową komisją śledczą, powołaną do wyjaśnienia przypadków wyłudzania podatku VAT w czasie sprawowania rządów przez PO i PSL, stanął przewodniczący Rady Europejskiej i były premier Polski Donald Tusk. Z przewodniczącego komisji, pisowca Horały, Tusk zrobił wiatrak, pokazując mu różnice, które dzielą dzieciaki od mężczyzn.

Skoro o gówniarzach… Komornik chciał zabrać byłemu pisowskiemu premierowi Kazimierzowi Marcinkiewiczowi profesjonalny rower przed startem w zawodach triathlonowych. Ostatecznie nie zabrał, bo rower nie był własnością byłego premiera. Premier (sic!) Marcinkiewicz spięciem z komornikiem pochwalił się na Instagramie.

Ten sam temat. Ziobro, nienależący do PiS-u pisowski minister sprawiedliwości, wycofał się z zapowiedzi pozwania do sądu grupy uczonych prawników z Uniwersytetu Jagiellońskiego, którzy ośmielili się skrytykować forsowaną przez Ziobrę nowelizację kodeksu karnego. Radio RMF FM poinformowało, że złożenie pozwu zablokował Kaczyński, bo „obawiał się kompromitacji partii rządzącej przed sądem".

W jednym szeregu z Horałą i Ziobrą powinien też stanąć Schreiber, pisowski poseł, który na Twitterze skomentował przesłuchanie Tuska, powołując się na jego wypowiedź zmanipulowaną przez TVPiS. Tusk naprawdę powiedział: „Jeśli pyta pan mnie jako premiera, czy ja lub mój rząd był zainteresowany, żeby jak najwolniej wprowadzić legislację, która skutecznie wyeliminuje wyłudzenia, to musiałbym to uznać za zwykłą impertynencję". Schreiber zacytował: „Mój rząd był zainteresowany, żeby jak najwolniej wprowadzić legislację, która skutecznie wyeliminuje wyłudzenia". Gdy się połapał, że łże, przeprosił – dlatego aż takim gówniarzem nie jest.

Terlecki, pisowski wicemarszałek Sejmu, powiedział w radiu, że PiS „zastanawia się, czy podtrzymywać istnienie" ugrupowania Kukiz '15. W tym czasie lider tego ugrupowania Paweł Kukiz śpiewał na festiwalu w Opolu. Ci, którzy znają się na śpiewaniu, mówią, że cienko śpiewał.

Kaczyński ostrzegł suwerena przed najnowszym filmem Patryka Vegi. Film nosi tytuł „Polityka", jest o polityce i politykach, a premierę będzie miał we wrześniu – na miesiąc przed wyborami parlamentarnymi. Iwona Bielska zagra posłankę Pawłowicz, a Andrzej Grabowski posła Kaczyńskiego. Z fragmentów, które udostępnił reżyser, wynika, że kopie są lepsze od oryginałów.

2 wydarzenia zdominowały tzw. zbiorową wyobraźnię Polaków. Jedno: Na Dolnym Śląsku 22-letni student zabił 10-letnią córkę kobiety, w której się zakochał. Drugie: Pociąg PKP TLK „Gwarek" z Katowic do Słupska jechał 18 zamiast dziewięciu godzin. Przyczyna? Upał. Z powodu upału pod Pleszewem zmarł 75-letni pasażer, a niedaleko Rogoźna zepsuła się sieć trakcyjna.

Naszą wyobraźnię przez moment zajął rozpoczynający się w Toruniu proces 46-letniego Piotra B., który przed rokiem zabił żonę, zadając jej co najmniej 15 uderzeń tłuczkiem do mięsa (z metalowymi okuciami) oraz co najmniej 16 ciosów dwoma nożami. Zabójstwo nas nie dziwi – między małżonkami zdarzają się niesnaski. Dziwi nas linia obrony zabójcy, który powiedział, że nie jest potworem, a „to, co się stało, to niewiara w Boga i w diabła". Na rozprawę przyszedł pod eskortą policji, na nogach i rękach miał kajdanki, a na szyi różaniec.

Pasza Mesjasza

Prezessimus Jarosław Kaczyński ogłosił, że lubi jeść bigos, placki ziemniaczane, pierogi ruskie, schabowego z kapustą, kiełbasę z grilla i naleśniki bez farszu.

Naleśniki bez niczego oznaczają, że zżera samo opakowanie. Jest jedynym ssakiem, który to robi.

Kiełbasa z grilla była daniem niedoboru z czasów PRL. Dziś Polak na grillu kładzie produkty różnorodne i tak wymyślne jak boczek, papryka, bakłażan i świńska karkówka.

Pierogi ruskie odstręczają patriotów samą wrażą nazwą. Mają we wnętrzu bodaj biały ser ugnieciony z kartoflami. Stanową więc jadło ubogich. Nie przystają do czasów dobrobytu, który Kaczyński spuścił na Polskę. Występują dziś rzadko, tylko w barach mlecznych jako głodowe żarcie byłych funkcjonariuszy SB na obciętej emeryturze.

Schabowy z kapustą jest ciężkostrawny, tani, tłusty. Wywołuje pierdzenie odbytem i ustami.

Placek kartoflany to tylko łożysko. Zazwyczaj podkład pod śmietanę i kawior ruski jak pierogi.

Zmielone kartofle, smażone na rzepakowym oleju, niegdyś były przysmakiem biedoty. Polityka historyczna PiS uprawia zaś kult szlacheckich dworków, których wnętrza ozdabiały Matki Boskie, ryngrafy, herby, portrety, karabele i ołtarzyki polskości skupiające narodowe symbole. Ich tradycje kuchenne przedstawia XIX-wieczna książka kucharska Ćwierczakiewiczowej. Znajdujemy w niej przepisy zaczynające się od wskazówek: „Weź osełkę masła i rzuć ją na polana, aby się lepiej paliły" albo przed receptą na babkę: „Rozbij do misy kopę jaj". Kopa to było 60.

Bigos stanowi mieszaninę różnych niestrawności, starej kapusty, odmrożonej dziczyzny, plasterków kiełbasy, boczku i grzybów nietrujących, jeżeli ma się szczęście. Wszystko gotuje się razem przez wiele dni, aż nabierze nieświeżości.

Nic lepiej niż bigos nie wywołuje sraczki. Z kontekstu wynika, że to prezeska Trybunału Konstytucyjnego Przyłębska warzy Kaczyńskiemu bigos. Czyli mamy do kupy niestrawne jadło i takąż kucharkę.

Bigos jadłem co wieczór w 1949 r., gdy miałem 16 lat. Kończąc dzienną budowę socjalizmu, chodziłem z towarzyszami do podłego baru i właśnie bigosem zakąszałem setkę, gdyż był najtańszy.

Ogłoszenie przez prezesa wszystkich prezesów jego ulubionego jadłospisu ma wielkie znaczenie polityczne, co udowodnię, wkładając w ten zamiar całą moją inteligencję, która jest sztuczna. Nie chodzi o to, że nasz przywódca puszcza wiatry. Publikując swoje menu, Kaczyński kokietuje wyborców PiS, sugerując im, że jest tak samo ludowy, małomiasteczkowy i katolicki jak oni. Po prostu kość z kości. Tej od schabowego.

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

W rzeczywistości nałogowi patrioci-dobrozmianowcy współcześnie żrą pizzę, hamburgery, kebaby, spaghetti, rzadziej chińszczyznę z kartonika. Kaczyński uwodzi więc prostych ludzi, jednak tych sprzed czterdziestu lat. O własnym elektoracie nie ma już żadnego pojęcia. Staje się więc dla obozu prawdziwych Polaków dziwacznym anachronizmem. To zapowiedź, że może przerżnąć wybory i marnie skończyć jako eurodeputowany osadzony w Brukseli, ochronce dla polityków przeszłości rozmijających się dziś z czasem. Stolica Belgii słynie zaś, jak wiadomo, na cały świat z bigosu, schabowego i ruskich pierogów, chociaż, jak sama jej nazwa wskazuje, walońska kapusta jest zminiaturyzowana, bigos gotuje się więc tam z brukselki.

Dla historii i losu kraju obojętne jest, co naprawdę żre Jarosław Kaczyński. Ważne natomiast, jak łże na ten temat. Był kłamcą skutecznym politycznie. Teraz traci propagandową trafność. Zatraca zdolność uwodzenia ciemnej masy swym jadłospisem, strzela kulą w płot. W jego sytuacji lepiej byłoby zaś utracić nogi lub postradać zmysły.

Dokładnie 80 lat temu następca Piłsudskiego, też marszałek, nie mijał się z prawdą w swych przemówieniach, gdy zapewniał, że nie oddamy ani guzika. Miał bowiem spakowaną już do ucieczki garderobę, a guzików przecież nie odpruł. Tymi guzikami na chwilę wzbudził zachwyt sobą, a na zawsze zapewnił sobie śmieszność. W kłamaniu, jak we wszystkim, potrzebny jest otóż umiar. Odnosi się to także do rzekomego jadłospisu Kaczyńskiego zawierającego anachroniczne dania.

Robiąc politykę przez kuchnię, przywódca kraju zapomina o polityce zagranicznej. Ta wymagałaby zaś włączenia do spisu potraw ukłonów wobec Orbána i Trumpa w postaci węgierskiego gulaszu, szegedyńskiej zupy rybnej i amerykańskiego łykowatego indyka jadanego w USA w święto państwowe. No i koniecznie podkreślenia, że ruskie z nazwy pierogi w rzeczywistości są polskie, narodowe. Ich żarcie sprzyja rozrodowi i bohaterstwu.

Ogłoszony przez Kaczyńskiego łżejadłospis w mniemaniu prezesa wciąż arcypolski miał stanowić swojskie przeciwieństwo ośmiorniczek żartych przez jego przeciwników. Cwany rzekomo prezes PiS nie wie, że to działa inaczej. Ciemny lud głosuje przeciw elitom, jednak zawsze się na nich wzoruje. Skoro zjadanie owoców morza oznacza awans społeczny, zwiększa się apetyt na te obrzydlistwa. I tym samym połykacz schabowych czy bigosu staje się obciachowy. Nie przeceniam politycznego znaczenia żarcia. To tylko przejaw tego, że władca kraju w ogóle traci już węch, który prowadził go do sukcesów. Ten jego regres jest bezcenny. □

sekr@redakcja.nie.com.pl

Rys. TOMASZ WIATER

PRASA ŚNIADANIOWA

- **Abp Stanisław Gądecki** zaprosił na „Męskie oblężenie Jasnej Góry". I to Marsze Równości są obsceniczne?
- **Ryszard Czarnecki** powiedział, że woli porównanie PiS do rycerzy niż do Greków. Tym samym tytuł Don Kichota polskiej polityki został przyznany.
- **Witold Waszczykowski** powiedział, że Rosja ćwiczy w komputerowych symulacjach atak nuklearny na Warszawę. Spokojnie, uratuje nas Wiedźmin.
- W czasie zawodów sportowych komornik chciał odebrać **Kazimierzowi Marcinkiewiczowi** rower. Nie lepiej było poczekać na złoty medal?
- 18 czerwca **Jarosław Kaczyński** skończył 70 lat. W dobrą stronę to idzie.
- **Posłanka Pawłowicz** została liderką popularności i interakcji na Twitterze. Zgodnie z podstawową zasadą internetu: im gorzej, tym lepiej.

MARTA M.

eprasa.pl 5baaa01084

PRZEMYSŁAW ĆWIKLIŃSKI

1500 numerów „NIE”: sex, drugs & rock’n’roll. I wóda.

Donosiciele mojego życia

Po Czytelnikach największym majątkiem każdej redakcji są jej informatorzy. Pracuję w „NIE” prawie 30 lat, czyli od drugiego numeru, miałem zatem mniejszy bądź większy udział w tworzeniu 1499 numerów. Co najmniej tylu informatorów spotkałem w tym czasie na swojej dziennikarskiej ścieżce. Opowiem o bardziej interesujących.

Łapówka. Dzwoni człowiek i mówi, że ma kwity kompromitujące Jana Rokitę. Było to w czasach, w których Rokita był kimś, a nie tylko komentatorem politycznym TVN 24.

Umawiamy się w kawiarni w piwnicy Starego Teatru w Krakowie. Facet około pięćdziesiątki przychodzi na spotkanie z ładną dziewczyną około dwudziestki. Opowiada o jakiejś nieistotnej sprawie obyczajowej, w której Rokita miał odgrywać zdaniem informatora obrzydliwą rolę. Na moje oko – nie odgrywał. Próbuję wyjaśnić, że redakcji to nie zainteresuje. Dziewczyna milczy.

– Ja wiem, panie redaktorze, że nie ma nic za darmo. – Facet mruga do mnie porozumiewawczo. – Ja wiem, że jeśli pan zechce, to napisze o tym s… Proszę wybaczyć, ale trudno mi się opanować. Postawię sprawę jasno. To jest moja córka Ilonka. Proszę zaprosić ją do hotelu albo dokąd pan chce. Odbiorę ją tu jutro o piątej po południu. Nie będzie pan żałował.

Spoglądam na Ilonkę, która skromnie spuszcza wzrok.

– Do widzenia. – Zdobywam się na heroizm, który dziś trudno mi zrozumieć.

Klawiszka. Korupcja w Zakładzie Karnym w Tarnowie. Mam wszystkie konieczne kwity, lecz umawiam się z naczelnikiem więzienia w jego miejscu pracy, żeby poznać opinię tzw. drugiej strony.

Podczas rozmowy naczelnikowi towarzyszy rzeczniczka prasowa – w mundurze porucznika. Naczelnik kluczy, kręci, kłamie. Myślę, że to dobrze. Jestem z siebie dumny, że dochowałem staranności dziennikarskiej. Do wyjścia odprowadza mnie pani porucznik. Żegnając się ze mną uściskiem dłoni, ukradkiem podaje karteczkę. Spoglądam na nią już za bramą więzienia – zapisane numer komórki i godzina, jak się domyślam, o której powinienem zadzwonić.

Dzwonię.

– Gdzie pan jest?

– W hotelu – podaję nazwę i numer pokoju.

– Będę za godzinę.

Spodziewam się, że rzeczniczka powie mi coś, czego nie chciał powiedzieć naczelnik.

Pani porucznik przychodzi do pokoju po cywilnemu i w wieczorowym makijażu.

– Cześć – mówi, oblizując usta. A może tylko tak mi się wydaje?

Nie wydaje mi się. Rzeczniczka zdejmuje płaszcz, pod nim ma sukienkę, a pod nią – jak miałem się przekonać – pończochy. Z torebki wyjmuje butelkę półsłodkiego wina i korkociąg.

– Co tak stoisz? Przynieś jakieś szkło.

W ten sposób przeszliśmy na ty. Nie ma żadnych informacji, po prostu chce wiedzieć, jak to jest w „NIE”. Czeka na opowieści o nagich imprezach, które odbywają się w domu Urbanów – z udziałem polityków i aktorek. Ile butelek szampana wypijamy podczas wieczoru? Jak dużo koki zwykle wciągamy?

Nie zawodzę jej. Łżę nie gorzej niż jej przełożony.

Kokaina. Niesprawiedliwość w sądzie. Sędzia na usługach konkurentów jednego z większych biznesmenów na Podbeskidziu. Spotykam się z nim, dostaję mocne kwity, piszę tekst, który się ukazuje. Tydzień po publikacji dostaję pocztą anonimową przesyłkę. Otwieram. W środku lakowe pudełko pełne białego proszku. Wąglik!

Znajomemu policjantowi daję próbkę proszku.

– Kurwa, ledwie się z tego wywinąłem – dzwoni z pretensjami. – Skąd to masz? I jak dużo?

– Dużo – odpowiadam. – Z czego się wywinąłeś?

– To kokaina. Tak czystej chłopcy z labo nie widzieli od lat.

Kokainy nie użyłem (no…) ani tym bardziej nie sprzedałem, ale za to pracownicy jednej korporacji mieli używanie przez miesiąc. A może przez rok?

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Party. Biznesmen z pierwszych stron gazet daje mi temat o nieuczciwości urzędników. Sprawdzam, wszystko się potwierdza: bez łapówki urzędasy nie chcą dać kwitu, który powinny dać bez mrugnięcia okiem. Piszę tekst, który ukazuje się w poniedziałek. We wtorek telefon z podziękowaniami od biznesmena i zaproszenie na przyjęcie.

– Dali panu ten kwit?

– Nie, ale dadzą. Teraz już dadzą.

O dziewiątej wieczorem przyjeżdża po mnie szofer. Bmw siódemką jedziemy do warszawskiego „InterContinentalu”. Prywatną windą wjeżdżamy na samą górę. W chwili gdy pojawia się biznesmen, szofer znika.

– Mam tu całe piętro – mówi z dumą biznesmen.

Wchodzimy do pomieszczenia, które równie dobrze mogłoby być wielkim gabinetem, jak i małą salą balową. Starożytny Rzym! Bardziej rozebrane niż ubrane westalki. Stoły i stoliki uginające się od jedzenia na zimno. Fotele, kanapy, szezlongi.

– A to specjalnie dla pana. – Gospodarz przywołuje kelnera, który prezentuje mi butelkę whisky. „Craig…”, coś tam, coś tam, „single cask”.

– 51-letnia, 5 tys. funtów za butelkę – chwali się biznesmen, a ja żałuję, że poznałem takiego nadętego bałwana.

Spędzamy wieczór we dwóch, nie licząc westalek i kelnerów co i raz podających potrawy na gorąco. Argentyński *blue steak* jest świetny. A whisky za 25 tys. zł? Odrobinę lepsza od niebieskiego „Johnniego Walkera”.

Pod koniec tego smutnego w gruncie rzeczy przyjęcia dowiaduję się, że publikacja w „NIE” pomoże przedsiębiorcy w *dealu* za 20 baniek. I jakoś nieszczególnie się z tą informacją czuję.

„Masa”. Czy chciałbym pogadać z legendarnym „Masą” – Jarosławem Sokołowskim, byłym gangsterem z Pruszkowa, królem świadków koronnych? Pewnie.

Pośredniczy były psycholog więzienny. Punktualnie o czwartej po południu mam czekać na parkingu Dworca Gdańskiego w Warszawie. Przyjedzie po mnie ktoś srebrnym mercedesem *s-klasse*.

Ktoś przyjeżdża. Oj, nie wygląda mi on na prawnika… Ruszamy. Kierowca podaje mi rękę, przedstawia się pseudonimem. Gwarzymy, bo nie włącza radia. Mówi polszczyzną, której nie powstydziłby się prof. Bralczyk. Ma poczucie humoru i posługuje się błyskotliwymi porównaniami. Nawet nie zauważam, jak mija pół godziny. Z autostrady zjeżdżamy na parking stacji benzynowej.

– Musimy zmienić auto.

Wsiadamy do stojącej na parkingu granatowej beemwicy. Wracamy do przerwanego wątku rozmowy. Pół godziny później przesiadamy się do czarnego audi, a potem do zielonego jaguara, którym docieramy do Łodzi. Kierowca prowadzi mnie na zaplecze restauracji, wprowadza do VIP-roomu, odchodzi. Minutę później zjawia się „Masa”.

– Czego się napijesz? – przechodzi na ty.

Pijemy wściekłe psy i whisky. Gdy już oswajam się z bezpośrednim sposobem bycia gospodarza, pytam go o zmiany samochodów.

– Rozumiem, że też nie chcesz być łączony z „NIE” – sam sobie odpowiadam.

– Ochujałeś?! Zmienialiśmy auta z powodu gangusów i policjantów, którym się urwałem, a nie ze względu na ciebie.

Oleksy. Były premier opowie mi, co się naprawdę dzieje w Sojuszu Lewicy Demokratycznej. Umawiamy się u niego w domu. Negocjujemy warunki rozmowy: Józef Oleksy chce być anonimową wiewiórką, ja upieram się, żeby wydrukować rozmowę pod jego nazwiskiem.

– Napiszę dwie wersje, wybierze pan, którą zechce – mówię pojednawczo.

Zgoda.

Słucham o intrygach, lizusach, podpieradalaczach, drobnych przekrętach finansowych – jak w każdej partii. Ale jest akurat przed wyborami, rewelacje Oleksego mogą być więc atrakcyjne. Wszystko nagrywam dyktafonem.

Nazajutrz zgodnie z umową piszę dwie wersje. Wysyłam mailem Oleksemu. Pół godziny później telefon.

– Nie tak się umawialiśmy – mówi z wyrzutem. – O wywiadzie w ogóle nie ma mowy. Druga wersja też jest nie do przyjęcia. Kategorycznie się nie zgadzam! Nie pozwalam, rozumie pan?

Rozumiem.

Do dziś nie wiem, czego lub kogo Oleksy się wtedy przestraszył.

• • •

Wiewiórki, które spotkałem, zwykle dziwiły się, że nie wyglądam jak Urban. Były za to pewne – i snuły w związku z tym fantazje – że życie dziennikarza „NIE” jest pełne grzechu i rozpusty. I że nie ma takiej sprawy, o której „NIE” nie chciałoby napisać – jest przecież takie wolne i niezależne… Tak było w czasach, gdy nakład tygodnika przekraczał 700 tys. egzemplarzy. Tak bywa i teraz, ale już nie tak często. □

pcwikla@redakcja.nie.com.pl

Wieści gminne i inne

Od początku tego roku we wszystkich lasach w Polsce wybuchło ponad 5300 pożarów. Przy czym w czerwcu już 480 – powiedział rzecznik prasowy Lasów Państwowych Krzysztof Trębski. Aby zrozumieć rozmiar tej tragedii, wyjaśnić wypada, że zgodnie z danymi Federalnego Instytutu Badania Lasu, Śniegu i Krajobrazu w Zurychu w metrze sześciennym europejskiej ziemi leśnej mieści się więcej istot żywych niż jest ludzi na świecie.

3 tysiące mieszkańców ośmiu miejscowości w gminie Obrazów (województwo świętokrzyskie) nie ma dostępu od dziesięciu dni do bieżącej wody. Dostawy przerwano z powodu niedoborów wody w ujęciu w sąsiedniej gminie, skąd zasilany jest wodociąg. Jak powiedział wójt Obrazowa Krzysztof Tworek, winny jest śnieg, który miał spaść w zimie i stopnieć na wiosnę, ale tego nie zrobił. Z powodu braku śniegu Łysogóry stają się jeszcze bardziej łyse, a ich podnóża pustynnieją.

Dzieci do 7. roku życia mogą jeździć wrocławskimi tramwajami i autobusami za darmo, jeżeli mają przy sobie akt urodzenia, ponieważ miejscowi kontrolerzy nie są w stanie odróżnić dziecka 7-letniego od 11-letniego. W datach obchodów Światowego Dnia Książki i Praw Autorskich oraz Światowego Dnia Walki z Analfabetyzmem okazanie przez pasażera książki papierowej lub czytnika e-booków również podobno zwalnia z posiadania biletów w środkach komunikacji wrocławskiego MPK, ale nie radzilibyśmy ryzykować.

W centrum Bydgoszczy na ul. Jagiellońskiej wystrzeliły w górę szyny tramwajowe, które rozszerzyły się ponad normy rozszerzalności cieplnej stali, z której miejscowi inżynierowie zaprojektowali miejskie torowiska. Pozostaje mieć nadzieje, że nie zatrudniono ich w miejscowej PESIE, która produkuje pociągi, jakimi jeździmy po całej Polsce wszyscy.

Podobnie jak 2 i 3 tygodnie temu, i w minionych siedmiu dniach szczęśliwi obywatele miasta królewskiego Krakowa okładali się maczetami. Tym razem w autobusie MPK, gdzie posiadający maczetę chciał uciąć rękę, która takiej maczety nie trzymała. Przedmiotem sporu był strój tego, którego ręka była zagrożona, gdyż nosił on koszulkę klubu piłkarskiego ogólnie przez krakowian nielubianego. Oczywiście nie zachęcamy do wyrabiania sobie zdania o tym cudownym mieście na podstawie takich rzeźnickich incydentów. W Krakowie żyją też ludzie, którzy położyli wybitne zasługi dla rozwoju życia kulturalnego w całym kraju.

Gorzów Wielkopolski miotany był natomiast gromami z jasnego nieba, które celowało w gorzowian, a przede wszystkim w ich samochody gradem wielkości piłek pingpongowych. Metafizyczne wytłumaczenie tego zjawiska, które pokutuje wśród miejscowych, jest takie, że to kara za Kazimierza Marcinkiewicza, powitego tamże, najgorszego premiera, kochanka i bankiera w dziejach świata. My doszukiwalibyśmy się wyjaśnień tej meteorologicznej osobliwości raczej w prawach grawitacji i czasoprzestrzeni, choć oczywiście za Marcinkiewicza też by się gorzowianom należało.

Sąd Okręgowy w Warszawie utrzymał w mocy wyrok Sądu Rejonowego również w Warszawie w sprawie psychicznego i fizycznego znęcania się żony nad mężem. W toku postępowania ustalono, że 32-latka ubliżała mężowi, popychała go, kopała, dusiła i gryzła. Kara za te bestialstwa okazała się umiarkowanie uciążliwa: 1,5 roku więzienia w zawieszeniu na 4 lata. Wyrok nie wydaje się przesadnie sprawiedliwy, ale jest prawomocny. W każdym razie, panowie mężowie, nadal jest się czego obawiać.

Ludzie, którzy z braku lepszego zajęcia latają po polach z wykrywaczami metalu, na plaży w Kuźnicy znaleźli i wygrzebali z piasku niemieckie działo kaliber 88 mm oraz rosyjską armatę kaliber 45 mm, popularnie nazywaną „muchobijką”. Przedmioty te po oczyszczeniu i zakonserwowaniu mają trafić do muzeum, gdzie będą równie bezużyteczne, jak wtedy, gdy zalegały pod milionami ziarenek piasku.

Funkcjonariusz stołecznej Straży Miejskiej został pogryziony na ul. Podwale, w rezultacie czego z dotkliwymi bólami ręki trafił na ostry dyżur chirurgiczny. Strażnik poniósł karę za to, że zwrócił uwagę jeżdżącej między spacerującymi po chodniku rowerzystce, aby nie jechała na rowerze, skoro zabraniają tego znaki drogowe. Rowerzystka nie uskarża się na bóle żuchwy, dziąseł ani przyzębia, natomiast policja upiera się, że doszło do ewidentnego naruszenia nietykalności funkcjonariusza. Potrzebny więc będzie biegły stomatolog.

Jak informowaliśmy, w kwietniu w Krakowie stanął butelkomat skupujący plastikowe opakowania za 10 lub 20 groszy. Już nie stoi, ponieważ, jak wyjaśnił Jacek Majchrowski, prezydent miasta i profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego, największą liczbę butelek wrzucały osoby bezdomne. Było to nawet kilkadziesiąt sztuk za jednym razem. Opakowania nie były odpowiednio przygotowane, często brudne i wydzielały nieprzyjemny zapach, powodując dyskomfort dla przebywających w urzędzie – wyjaśnił pan profesor. Jednak prawdziwy powód likwidacji butelkomatu, jak mówią wtajemniczeni, był taki, że w kasie miasta nie było pieniędzy na finansowanie za jego pośrednictwem bezdomności.

Mieszkańcy Grzegórzek, dzielnicy Krakowa, nie mogąc doczekać się pomocy urzędników, sami postawili znaki drogowe oraz wyznaczyli rondo i przejście dla pieszych na ulicach Cystersów i Fabrycznej. Znaki wykonane zostały z tektury, a rondo i pasy dla pieszych narysowano na asfalcie kredą. Wygląda to bardzo po amatorsku, rzec można syfiasto, ale krakowianie są dumni jak gdyby rozwiązali problem głodu na świecie. Policja i kierowcy nie mają jeszcze w tej sprawie wyrobionego zdania.

R.J.

Informacje czerpiemy z prasy lokalnej i lokalnych portali, gdzie na stanowiskach redaktorskich zatrudnia się akwizytorów reklam zamiast dziennikarzy, bo tak się bardziej opłaca. Prawdziwość informacji może więc mieć wartość zbliżoną do tej, jaką prezentuje przemysł reklamowy.

eprasa.pl 5baaa01084

Kamasutra opozycji

W koalicji trwa rozsypka. Poprzedza jej sklejanie.

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Grzegorz Schetyna walczy z wewnętrznym buntem, jaki ujawnił się w Platformie po wyborach do Parlamentu Europejskiego. Musi się tłumaczyć z wyniku 38,5 proc., czyli przyzwoitej gorzały, jak gdyby uzyskał 12 proc., a więc na poziomie cienkiego winka. Na dodatek stało się jasne, że upatrywany na męża opatrznościowego Donald Tusk nie spełnia pokładanych w nim nadziei, nie porywa tłumów tak, jak miał porywać. Żeby było jeszcze gorzej, manewr z włączeniem samorządów w wybory parlamentarne zakończył się klapą, bo włodarze miast co prawda gorąco popierają opozycję, ale nie mają zamiaru kandydować.

Przy politycznym życiu trzyma Schetynę to, co faktycznie jest jego ważnym dokonaniem – zjednoczenie opozycji przed majowymi eurowyborami. Przewodniczący PO wie doskonale, że z dokończenia tego dzieła będzie w końcu rozliczany, dlatego uparcie i mozolnie na powrót skleja to, co się po maju rozsypało. Znając talenty organizacyjne i przebiegłość lidera Platformy, można mieć nadzieję, że nie będzie to praca daremna.

Nowoczesna jest już w zasadzie wewnętrzną strukturą PO. Jej liderki i liderzy zajęci są głównie walką o zajęcie biorącego miejsca na listach przyszłej koalicji. Nastroje nie są zbyt radosne, gdyż przykład Gasiuk-Pihowicz świadczy o tym, że nie ma miejsc na pewno biorących.

Sojusz Lewicy Demokratycznej zamarł w oczekiwaniu na wynik wewnątrzpartyjnego referendum, które zgodnie ze statutem ma rozstrzygnąć formułę, w jakiej partia wystartuje w najbliższych wyborach. Na pytanie: osobno czy w koalicji – będą odpowiadać 23 tysiące członków SLD. W ciemno zaryzykuję, że wynik będzie zdecydowanie korzystny dla opcji koalicyjnej. Trudno o inny głos członków partii, która na Koalicji Europejskiej najbardziej skorzystała. Pięciu eurodeputowanych to sukces, którego nikt nie oczekiwał.

„Wiosna" zmaga się z kłopotami wizerunkowymi. Brak jasnych odpowiedzi na uparcie zadawane przez sieć obywatelską Watchdog pytania o finanse partii Biedronia nie wygląda najlepiej. Głosząca jawność w życiu publicznym „Wiosna" kluczy i używa wszystkich możliwych sztuczek prawnych, aby nie ujawnić swoich głównych sponsorów. Dowiedziałem się, że Biedroń rozważa możliwość zamknięcia projektu „Wiosna" i powołania nowego bytu politycznego. Na dodatek sam Biedroń, który wielokrotnie obiecywał, że zrzeknie się mandatu europosła, słowa nie dotrzymał i traci gwałtownie wiarygodność. Widząc te problemy, terenowi działacze „Wiosny" zawczasu usiłują ewakuować się do SLD i Inicjatywy Polskiej Barbary Nowackiej.

Inicjatywa Polska poszła bowiem po rozum do głowy i ze stowarzyszenia stała się partią. Oznacza to, że Nowacka stanie się pełnoprawnym uczestnikiem koalicji montowanej przez Schetynę.

Zieloni czują wiatr w żaglach. Katastrofa klimatyczna staje się dla większości społeczeństwa faktem. A właśnie Zieloni od lat uparcie oferują konkretne rozwiązania mogące ten proces zatrzymać. Na ich korzyść grają też znakomite wyniki uzyskane przez siostrzane partie w krajach starej Unii z Niemcami na czele. Zieloni mają szansę wprowadzić do Sejmu sporą grupę przedstawicieli, którzy dzięki temu będą o wiele bardziej słyszalni i skuteczniej będą mogli zawalczyć o środowisko. Warunkiem jest sklecenie przez Schetynę szerokiej koalicji, o czym doskonale wie zarówno Małgorzata Tracz, jak i Marek Kossakowski (u Zielonych przywództwo jest 2-osobowe).

W Razem można zaobserwować atmosferę radosnej stypy. Działacze postanowili w żadnym wypadku nie wchodzić w układy z PO, co oznacza uparte trwanie przy wyniku 1,5 proc. Szkoda, bo zgromadzeni wokół Adriana Zandberga aktywiści ujęli niejedno serce żarliwością i lewicowością. Niestety zejście poniżej 3 proc. jest jednoznaczne z końcem państwowych subwencji. A nawet najbardziej pryncypialni działacze, żeby robić politykę, muszą mieć pieniądze.

Na koniec PSL. Docierające z obozu ludowców sygnały są sprzeczne. Wynika to zapewne z tego, że w PSL walczą 2 skrajnie inaczej myślące obozy: umowny obóz Kosiniaka-Kamysza z równie umownym obozem Sawickiego. Władysław Kosinak-Kamysz chce dalszej współpracy z PO i tworzenia szerokiej koalicji demokratycznej. Sprzeciwia mu się Marek Sawicki, który dał się kiedyś poznać jako świetny minister, ale dzisiaj zdaje się tracić swój dawny instynkt polityczny. Pcha stronnictwo do samodzielnego startu w wyborach, ryzykując zejście poniżej progu 5 proc. i faktyczne unicestwienie partii o grubo ponad 100-letniej tradycji. Na szczęście do głosu zaczynają dochodzić ludowi pragmatycy, którzy pytają wprost o skutki rozwodu z Platformą. Czy PSL chce, żeby rozpadły się również koalicje w sejmikach wojewódzkich, powiatach i gminach? Jeden Adam Struzik z Mazowsza jest dla PSL więcej wart niż wszystkie domniemane korzyści z odzyskania suwerenności, tożsamości i pójścia pod własnym sztandarem. Pojawiły się też plotki o rzekomym sojuszu Kukiza i PSL. Ale chyba należy je traktować w kategorii ponurego żartu, gdyż byłby to czytelny sygnał o gotowości ludowców do współpracy z PiS. A przecież to PiS jest największym wrogiem PSL, skutecznie odbierając mu wyborców na wsi.

Podsumowując: kłopoty opozycji są poważne, ale paradoksalnie mogą przynieść pozytywne zakończenie.

Nikt nie jest silny, nikt nie chce zdominować reszty, każdy ma własne problemy. To dobry grunt do zawiązania koalicji rozsądku, która ustali wspólne cele programowe i protokół rozbieżności programowych.

System D'Hondta nie przestał w maju działać i nadal promuje duże siły polityczne kosztem mniejszych. Aby wygrać z PiS, trzeba o tym bez przerwy pamiętać.

ANDRZEJ ROZENEK
andrzej.rozenek@redakcja.nie.com.pl

Agent wyklęty

Państwo PIS

Wojciech Janik to były funkcjonariusz Centralnego Biura Antykorupcyjnego, który złożył do prokuratury zawiadomienie na przełożonych. Zarzuca im, że próbowali zamieść pod dywan skandal obyczajowy z udziałem kilku ważnych polityków PiS, w tym marszałka Sejmu Marka Kuchcińskiego. Zawiadomienie Janika jest bardzo konkretne, zawiera liczne dokumenty i nagrania potwierdzające zarzuty.

Mafia sutenerska

Idąc śladem ujawnionej przez Janika sprawy, dziennikarki „Rzeczpospolitej" opisały mafię sutenerską, na której czele stali dwaj bracia R. pochodzenia rosyjskiego. Ich interesy były przez lata chronione przez wysokich funkcjonariuszy Centralnego Biura Śledczego Policji, a bracia cieszyli się względami wpływowych osób w państwie polskim. Ktoś załatwił im obywatelstwo, ktoś spowodował, że wyroki, jakie otrzymywali, były śmiesznie niskie.

Agencje towarzyskie braci R. działały na Podkarpaciu latami, przez nikogo nie niepokojone, gdy w tym czasie konkurencja była bezlitośnie likwidowana przez służby. Zdaniem Janika i jego informatorów właśnie najczęściej w domach publicznych braci R. byli nagrywani klienci. W kilka lat powstało ok. 4 tys. takich filmów. Jednym z nich miał być słynny film z udziałem marszałka Sejmu. Wszystkie nagrania zdaniem kilku informatorów opuściły granice Polski i znalazły się na terytorium Ukrainy. Jednak pojawiają się też informacje mogące świadczyć o tym, że materiał nagrywany w agencjach towarzyskich był w posiadaniu prokuratury i z jakiegoś powodu został zignorowany.

Od czasu gdy o zawiadomieniu napisały media (w tym tygodnik „NIE"), a Janik wystąpił podczas posiedzenia sejmowego zespołu śledczego opozycji, były funkcjonariusz stał się wrogiem publicznym nr 1. Janik zapowiedział, że więcej informacji o aferze podkarpackiej ujawni na kolejnym niejawnym posiedzeniu sejmowego zespołu śledczego.

Nic zatem dziwnego, że Janika na celownik wzięła usłużna TVPiS.

Program „Magazyn Śledczy" Anity Gargas rozpoczął się od groźnie brzmiącej informacji, że za chwilę ujawnione zostaną bulwersujące fakty z życia Wojciecha Janika. **„Odpowiemy także na pytanie, jak to się stało, że mimo to został funkcjonariuszem CBA"** – obiecywała autorka audycji.

Oburzające fakty

W Straży Granicznej i w wojsku Janik informował stosowne organy o nieprawidłowościach. Informacje nie zostały jednak potwierdzone. Z audycji nie dowiadujemy się ani tego, o jakie sprawy chodziło, ani z jakiego powodu były umarzane.

Wykładał na uczelni w Elblągu. Skarżyli się na niego studenci. Procesował się z innym pracownikiem uczelni. Obydwaj zostali skazani na tę samą karę. Autorzy programu nie przedstawiają sedna sporu między obydwoma pracownikami uczelni.

Jako doktor Janik napisał kilka książek. Jeden z naukowców, nieukrywający nawet antypatii do Janika, zadał sobie trud ich przeczytania i odkrył, że Janik powiela Janika. **„Autoplagiat"** – zawyrokował naukowiec. Nikt nie wyjaśnia widzom tego pojęcia. Szkoda, bo nawet gdyby Janik kopiował swoje prace naukowe, to nie byłoby to żadnym przestępstwem, tylko problemem natury etycznej.

Wreszcie pojawiają się zakapturzeni informatorzy. Kaptur 1: Janik donosił na kolegów, usiłował niszczyć ludzi, nie został ukarany, bo był przez

Rys. TOMASZ WIATER

rok na zwolnieniu lekarskim m.in. od psychiatry. Kaptur 2 (tonem kiepskiego lektora czytającego z kartki): Fantasta. Opowiadał o tym Podkarpaciu, jak służył w Straży Granicznej. Działał z chęci zemsty. Czuł się pokrzywdzony, dlatego zakładał sprawy, choć wiedział, że to jest lipa i fikcja.

Poseł Andrzej Matusiewicz ze zbolałą miną mówi, że nie zna Janika, nigdy go nie spotkał w żadnych okolicznościach. **„Ktoś chce mnie wyeliminować z działalności publicznej, którą prowadzę od dwudziestu lat"** – żali się poseł i informuje, że zawiadomił prokuraturę. Nie ma oczywiście informacji o tym, że Janik też nie zna Matusiewicza i nic od niego nie chce.

Janik przebiegle nie pojawia się w prokuraturze. Wysłał zwolnienie lekarskie. Autorzy pomijają informację, że tygodniowe zwolnienie lekarskie zostało na polecenie prokuratury zweryfikowane przez biegłego lekarza sądowego, który nie tylko je potwierdził, ale i wydłużył do miesiąca.

Wreszcie pojawia się zarzut koronny. Janik, czynny funkcjonariusz służb, chodził z pistoletem przy pasie! **„Czerwoną lampkę w CBA zapaliło niestandardowe zachowanie Janika, np. noszenie broni po budynku"** – ujawnia sensacyjne śledztwo TVPiS.

Uff! To koniec ustaleń „Magazynu Śledczego".

Atak na Bejdę?

Nawet gdyby wszystkie zarzuty postawione przez śledczy program rządowej telewizji były prawdziwe, to Janik nie wychodzi na totalnego złola. Raczej na osobę, która walczy z łamaniem prawa na każdym kroku i w każdej postaci. Tak zresztą charakteryzowali go współpracownicy, o czym pisałem w pierwszym artykule („Nieletnia laska marszałkowska", „NIE" nr 13/2019). **„Wojtek nie odróżnia kradzieży batonika od zabójstwa, dla niego jedno i drugie jest przestępstwem, które należy z całą stanowczością ścigać"** – wyjaśniali. Typ służbisty, szczególnie nielubiany przez przełożonych, bo powoduje problemy.

Jednak z tonu audycji można wywnioskować, że wykryte przez Anitę Gargas fakty z życiorysu Janika są **„bulwersujące"** i definitywnie przekreślają jego wiarygodność. Skoro tak, pozostaje najważniejsze pytanie: jak to się stało, że Janik trafił do CBA? Co się stało, że przyjęto go w 2016 r., gdy rządziło już PiS? Że został przez szefa CBA Ernesta Bejdę obdarzony ogromnym zaufaniem i uprawnieniami, jakie mógł otrzymać tylko James Bond z rąk Jej Królewskiej Mości? No, może z wyjątkiem licencji na zabijanie… Że CBA i Agencja Bezpieczeństwa Wewnętrznego wydały mu poświadczenia dostępu do informacji niejawnych, w tym te najwyższego stopnia NATO i UE?

W programie Gargas pada odpowiedź, lecz jest dość lakoniczna: **„CBA nie wiedziało o pewnych faktach z życiorysu Janika, co pozwoliło mu pozytywnie przejść proces weryfikacji".**

Enigmatyczne zdanie rozwija Cezary Gmyz: **„Straż Graniczna nie przekazała informacji na ten temat, w związku z tym został on funkcjonariuszem Centralnego Biura Antykorupcyjnego i został obdarzony rzeczywiście dość dużym zaufaniem ze strony swoich przełożonych".**

Aha. Czyli Straż Graniczna zakpiła sobie z kierownictwa CBA, podrzucając pieniacza i awanturnika o zerowej wiarygodności, a szefostwo agencji antykorupcyjnej łyknęło temat jak głodny pelikan łyka płotkę.

Gdyby tak było faktycznie, Ernest Bejda i nadzorujący go minister Mariusz Kamiński powinni natychmiast złożyć na ręce premiera Mateusza Morawieckiego dymisje. Na szczęście dla obydwóch dżentelmenów Janik dysponuje bogatym materiałem dowodowym, a ustalenia śledczych z TVPiS są nic niewarte. Obydwaj panowie nie odpowiedzą więc za karygodną niedbałość przy rekrutacji, grozi im za to odpowiedzialność za próbę zatuszowania jednej z największych afer w dziejach współczesnej Polski. A to już zupełnie inny kaliber sprawy.

ANDRZEJ ROZENEK

PS Marszałek Marek Kuchciński wytoczył nam sprawę o naruszenie czci oraz usiłował poprzez zabezpieczenie sądowe uniemożliwić nam przez rok pisanie o jego osobie. Sąd w pierwszej instancji rozpoznał wniosek o zabezpieczenie i go odrzucił z jednym wyjątkiem. Na stronie internetowej „NIE" przy artykule „Nieletnia laska marszałkowska" mamy zamieścić informację następującej treści:

„Marszałek Sejmu Marek Kuchciński, reagując na nasz artykuł, złożył przeciw nam do sądu pozew o ochronę dóbr osobistych, podważając prawdziwość informacji o tym, że przebywając w jednym z podkarpackich domów publicznych, korzystał z usług nieletniej prostytutki, dopuszczał się wobec niej czynności seksualnych i domaga się przeprosin. Proces sądowy trwa. Niniejsze oświadczenie zamieszczamy, realizując sądowe postanowienie o zabezpieczeniu powództwa".

Informację, tak jak sobie tego życzył sąd, na stronie zamieściliśmy. Proces trwa. Nie odwołuję niczego, co do tej pory napisałem. □

eprasa.pl 5baaa01084

Dialogi dam w drodze do kościoła

GOŚKA DANISZEWSKA nie może przestać się śmiać. Jej kot Adolf ma taką samą minę, gdy zrobi kupę do kuwety. Zagrzebuje ją, zasypując całą podłogę żwirkiem. Niby robi bałagan, ale po minie widać, że jest zadowolony. **AGNIESZKA WOŁK-ŁANIEWSKA** podobieństwo dostrzega, ale, jak przystało na symetrystkę, po obu stronach…

Wołk-Łaniewska: – „Do tej pory wierzyliśmy w to, że Amerykanie są dostarczycielami bezpieczeństwa dla tej części Europy ze względów ideowych, ze względu na wspólne wyznawane wartości”…

Daniszewska: – Co ty pierdolisz?

– Nigdy bym się nie ośmieliła tak określić tego oryginalnego poglądu.

– Dlaczego?

– Bo to nie ja powiedziałam, tylko prezydent Komorowski.

– No, mądrze nie powiedział. Ale to nie on machał do F-35. Ja, Wołku, tę pucołowatą mordę widziałam w telewizorze przez ostatnie dni zeszłego tygodnia.

– Czyją mordę?

– Jak to? Mojego kota Adolfa. Adolf ma wydęte policzki i po jego mordzie błąka się dość głupkowaty uśmiech. Na szczęście nie łysieje, ale może teraz zrozumiesz, co znaczy mina srającego kota.

– Na puszczy.

– Jakiej, kurwa, puszczy?

– Na pewno naszej, polskiej. Noteckiej na przykład. Albo jeszcze lepiej Knyszyńskiej.

– Białowieskiej?

– Nie, Białowieska jest antyrządowa. W każdym razie tak się mówi: mina kota srającego na puszczy.

– Niech ci będzie, że na puszczy. Choć w tym wypadku powiedziałabym raczej: na trawniku. Na szczęście Adolf nie macha do samolotów. Ma za to w ogrodzie srokę, która się z niego naśmiewa i wciska mu ciemnotę, wrzeszcząc od świtu. Sroka to cwane bydlę i zaczepia wyłącznie Adolfa. Doskonale wie, że ta dupa wołowa z Kleosina jej nie zeżre. Pozostałych zwierząt nie zaczepia.

– Może to twoja wina. Jak się nazwie kota Adolf, to musi budzić niechęć. Nawet u kogoś, kto należy do gatunku Pica pica.

– Jak?

– **Pica pica. Sroka zwyczajna.**

– Serio?

– Serio.

– Powiem Adolfowi, może go to podniesie na duchu. Wracając do tematu: tak się ucieszyłam, że przyjedzie do nas tysiąc amerykańskich żołnierzy. Szkoda, że tak mało, ale i to dobrze. Tacy młodzi, nakarmieni, znudzeni brakiem wojny mężczyźni mogą nieźle namieszać w naszych biało-czerwonych genach. Dobrze by było, żeby mieli inną karnację. Dobrze by było mieć trochę czekoladowych dzieci.

– A ile radości będzie w rodzinach. Na przykład w takim Gogółczynie.

– Gdzie?

– Pod Drawskiem. Wyobrażasz sobie: tatuś pszenno-buraczany, mamusia jak śnieg biała z kosą lnianą, a mały Antoś cynamonowy.

– Czemu Antoś?

– Bo to najpopularniejsze imię dla chłopca. To smutne skądinąd, bardzo lubiłam słuchać o Olivierach i Brajankach. Choć przeważnie pojawiali się w dość tragicznym kontekście: mały Brajanek, skatowany przez konkubenta matki.

– Myślisz, że małemu Antosiowi wujek nie może przywalić? Zwłaszcza gdyby był cynamonowy…

– Coś ty! Żeby rękę podnieść na dziecko sojusznika? To nie do pomyślenia! Zwłaszcza biorąc pod uwagę, ile nas ten sojusz kosztuje.

– Mądrze powiedział pan Frasyniuk, że te pieniądze można było przeznaczyć na coś mądrzejszego niż te drogie i wyimaginowane samoloty. Może jestem wredna, ale każdej obywatelce, która polazła głosować na Kaczora, życzę, żeby biodro jebało ją mocniej, a czekanie na endoprotezę przeciągało się w nieskończoność. Za to będzie miała poczucie, że Putin zesra się ze strachu. Będzie też miała coraz większą zaćmę, przez co nawet książeczki do nabożeństwa nie przeczyta.

– Ja się generalnie zgadzam z twoją złośliwością, z tym że obawiam się, że na kogokolwiek byśmy głosowali, i tak będzie Wuja Sama po dupie całował. Taka „kontynuacja polityki zagranicznej w ramach konsensusu co do polskiej racji stanu”.

– Może. Ale w tym wykonaniu mierzi mnie to szczególnie. Ten polski ludowy katolicyzm staje się coraz bardziej obrzydliwy. A rysunek Wiatera: baby klęczącej przed klechą, który trzyma banknot w dłoni i mówi „Daj głos”, coraz bardziej mądry i symboliczny.

– Nie przed klechą, tylko przed posłem.

– Skąd wiesz?

– Poznałam po garniturze i krawacie. Taki mural był kiedyś na Pradze: „Żeby być posłem, nie wystarczy być chujem. Trzeba mieć jeszcze garnitur i krawat”. Ale ten poseł to nie Kaczyński, bo krawat jest różowy. Wiatera uwielbiam, choć ten rysunek nieszczególnie.

– A ja owszem. Mój antykatolicyzm wzmaga się każdego poranka. A i wieczorem nie słabnie. Nawet tacy liberalni katole brzydzą mnie. Może nawet bardziej niż ci zatwardziali.

– Pewnie. Liberalny katolik to jak epidemiolog, który zwalcza ebolę, ale trypra zostawia, bo to przecież choroba z tradycjami.

– Mnie, Wołku, w głowie się nie mieści, że można w byt nieistniejący wierzyć. Powiem jak Dawkins: jechałam ostatnio rowerem i pomnik (ohydny) papieża J.P.2 podniósł rękę i mnie pobłogosławił. Pod nim stały zakurzone kwiaty z plastiku. Mocnej nacisnęłam na pedały i spierdoliłam nad rzeczkę.

– Myślisz, że Dawkins na rowerze spierdala przed J.P.2? On jeździ po Oksfordzie, a tam chyba raczej nie ma pomnika papieża Polaka.

– Niedopatrzenie. À propos świętości: zauważyłam, że w tefałenowskim pierdoleniu elegancko jest skrytykować matkę w tęczowej aureoli. Nawet nasz ulubiony liberał Misio Kamiński nie powstrzymał się przed tym. Najpierw się mówi, że „Mnie to też uraża”, a potem pierdoli, co chce. To tak jak z aborcją. Najpierw trzeba być przeciw, a potem przedstawiać racjonalne argumenty „za”.

– Ja tam uważam, że za aborcją jest tylko jeden argument, ale za to potężny.

– Mianowicie?

– Aborcja powoduje, że nie ma dzieci!

– Ty znowu o dzieciach?

– Nie muszę. Możemy o pogodzie.

– Proszę bardzo. Chyba już muszę pojechać na jakiś urlop. Ciekawe, że gdy jeszcze nie byłam na emeryturze, to częściej jeździłam na urlopy. Ale wówczas urlopy miałam płatne, a dzisiaj ja za nie płacę.

– Na biednego…

– Tak, tak, wiem, wszyscy burżuje to świnie. Do tego nieekologiczne. Odwiedziły mnie wnuki obydwu płci i wieku. Zostałam skrytykowana, że śmiem jeszcze podawać wodę w plastikowych butelkach. Mają świętą rację. Nigdy więcej. Ponieważ nie zdążę uratować świata, będę wodę z plastikowych butelek przelewała do dzbanka.

daniszewska@redakcja.nie.com.pl
awl@redakcja.nie.com.pl

Żywią i biorą

Wbrew głupotom Gowina o tym, że władzy na kolejne transfery nie stać, mamy wieści o pisowskim przedwyborczym przyspieszeniu w kupowaniu elektoratu.

Polskie rolnictwo to 4 proc. naszej gospodarki. Na wieś od lat wpompowuje się dziesiątki, jeśli nie setki miliardów złotych rocznie. Dzięki temu włościanie opłacają śmiesznej wysokości składki KRUS. Nie płacą PIT-u, tylko groszowy podatek rolny oraz dostają dopłaty do każdego hektara i do większości wyprodukowanych płodów ziemi i chlewika czy obory. Za każdy hektar rolnikowi należy się zatem ok. 500 zł, na krowę dopłata wynosi ponad 300 zł, a na owcę ponad 100 zł. Za posadzenie hektara pomidorów dostaje się ponad 3 tys. zł, za taki sam obszar uprawy chmielu – ponad 2 tys. zł.

To na wieś pognało prawie 70 proc. z „500 plus” na drugie i kolejne dziecko, a tak właściwie – przez osobliwy przelicznik chłopskich dochodów – na pierwsze też.

Gdy rolnika dotknie susza, powódź czy tornado, państwo wspomaga go finansowo, dbając, aby kwota odszkodowania nie przekraczała równowartości 15 tys. euro. Jeśli zaś zasiewy zostaną stratowane przez kuropatwy lub zające, rolnik dostanie od państwa odszkodowanie. Bo państwo ma na to rocznie ok. 100 mln zł.

Gdyby zaś hodowcy drobiu lub świń przyszło mieć do czynienia z epidemią, resort rolnictwa poda na pomocnej dłoni kasę za wybite zwierzęta. Kasę za padlinę o równowartości rynkowej żywca.

Oczywiście na te dopusty boże rolnik musi też być ubezpieczony. I jest, gdy więc dotknie go jakaś plaga, to dostanie pieniądze także z ubezpieczenia. Dużo większe pieniądze, niż wynikałoby to z płaconej przez niego składki. Bo do każdej polisy rolniczej państwo firmie ubezpieczeniowej dopłaca prawie dwie trzecie. Rocznie kosztuje to budżet państwa jakiś miliard złotych.

To i tak nie wszystko, bo gdy chłopu uprawy trafi szlag, powinien wystąpić o preferencyjny kredyt. Co oznacza, że spłatę niemal całych od niego odsetek bierze na siebie państwo. A jeśli urzędnik ma dobry humor, to może spłatę kredytu odłożyć w czasie, zamrozić, rozłożyć na więcej rat albo nawet umorzyć. W tamtym roku umorzono chłopskie długi warte niemal 40 mln zł.

To niewiele w porównaniu z miliardem złotych, który budżet wypłaca rolnikom jako rekompensatę za paliwo. Rekompensatę, która powoduje, że dla chłopa olej napędowy jest o jedną czwartą tańszy niż dla nierolnika.

Polski chłop ma jednak to do siebie, że się za szybko przyzwyczaja. Ponieważ z opisanych wcześniej profitów korzysta od lat, to uznaje, że mu się one należą jak psu buda. Jeśli władza nie zaproponuje kolejnych pieniędzy, to znaczy, że o rolnika nie dba i jest antychłopska.

PiS o tym wie. Dlatego w kwietniu Kaczyński wymyślił program kolejnych dopłat do rogacizny i nierogacizny, czyli dodatkowe 500 zł za każdą hodowaną krowę oraz 100 zł za świnię.

Wbrew temu, co publikują media niechętne władzy, czyli że do tej pory stosowny projekt nie został wysłany do Brukseli, która musi go pobłogosławić, a dopłaty uskutecznić w ramach „Krowy plus”. Bo PiS wie, że pisanie do Komisji Europejskiej w przeddzień jej rozwiązania nie miałoby sensu. Napisze, gdy wszystkie stanowiska zostaną poobsadzane. Zwłaszcza że z dodatkowymi pieniędzmi na dopłacanie hodowcom problemów być nie powinno. Przecież od lat dodatkowy pieniądz wędruje do baców w ramach programu „Owca plus”.

Zanim na wieś zaczną płynąć miliardy na świnie i krowy, PiS postanowiło dofinansować rolników już teraz. Przed wyborami.

Ogłoszono start „Ogólnopolskiego programu regeneracji środowiskowej gleb poprzez ich wapnowanie”. Pójdzie na to 300 mln zł. Z kasy tej będzie się dofinansowywać zakup środków służących odkwaszaniu gleby. Dzięki czemu rolnik dostanie nawet 300 zł zwrotu za tonę wapna, które i tak co roku musiał kupować i rozsiewać na polu.

Jednak w przypadku dotowania wapna jest jedno *novum:* pieniądze na to nie pójdą z budżetu ministra rolnictwa. Kasę wyłoży Narodowy Fundusz Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej. Dlatego że po pierwsze, ma środki, a po drugie, gdyby się Bruksela czepiała, to można jej powiedzieć, że chodzi o ochronę przed erozją czy czymś równie ekologicznym.

Ministerstwo Środowiska sfinansuje też kolejne 170 mln zł dla wsi. Tym razem w ramach „Ogólnopolskiego programu finansowania usuwania wyrobów zawierających azbest”. Dofinansowanie rolnik będzie mógł dostać na demontaż, zbiórkę, transport oraz unieszkodliwianie odpadów azbestowych.

I wszystko byłoby fajnie, gdyby nie taki drobiazg, jak to, że PiS po pierwsze – samo zapieprzyło sprawę odkancerowania wsi z eternitu, a po drugie – Ameryki z azbestem nie odkryło.

Od 2002 r. funkcjonuje ogólnopolski program usuwania azbestu. 17 lat temu zapisano, że usuwanie eternitowych dachów, azbestowych rur kanalizacyjnych czy zsypów na śmieci zostało rozłożone na 30 lat. Szacowano wówczas, że na oczyszczenie Polski z rakotwórczych włókiem potrzeba będzie 47 mld zł. Czyli więcej niż po 1,5 mld zł rocznie.

Żeby było zabawniej, to w 2009 r. przyjęto wieloletni „Program oczyszczania kraju z azbestu na lata 2009–2032”. W 2002 r. zinwentaryzowano 6 295 347 ton azbestu do utylizacji. Po 17 latach usuwania go zostało jeszcze 5 365 641 ton.

W tym kontekście 170 mln zł brzmi zabawnie i pokazuje, że nie chodzi o walkę z eternitem, ale o wrzutkę tej kasy dla wiejskich firm żyjących z demontażu i utylizacji dachów. Tak się bowiem składa, że polska wieś w większości jest zamieszkiwana przez ludzi, którzy z rolnictwem nie mają nic wspólnego, ale trzeba im dawać kasę, żeby przy urnach dokonywali właściwego wyboru.

Stąd kolejny ekologiczno-wyborczy program dla kilku wsi z Mazowsza za pieniądze resortu środowiska. Nazywa się „Usuwanie folii rolniczych i innych odpadów z działalności rolniczej” i będzie kosztował 10 mln zł. Oficjalnie rząd dzięki programowi chce **„uwolnić rolników od problemu zbierania i utylizacji folii”**, co jest o tyle głupie, że od lat każda chałupa płaci za wywóz śmieci. Czyli folii też. Ale resort środowiska ma wolne 10 baniek i nie waha się nimi wesprzeć wiejskiego biznesu w gminach, które na to – co wynika z sondaży – zasługują.

Na tym zasilania wsi ze środków ministerstwa środowiska nie koniec. Na wsi działa bowiem wiele firm trudniących się budową lokalnych oczyszczalni ścieków dla budynków oraz całych wsi. Na wsiach są też urzędy gmin, które lubią dostawać pieniądze i nimi dysponować. Dzięki temu urzędnicy i lokalni przedsiębiorcy zarabiają. Dla nich ministerstwo ma 200 mln zł. Oficjalnie na pożyczki – takie, które będą umarzane częściowo, a nawet w całości.

Jeśli jednak wójtom nie chce się zaciągać zobowiązań na ekoszamba, to zawsze mogą dostać dotację. Tym razem na wdrożenie programu „Adaptacja do zmian klimatu”. Chodzi o rozdawanie kasy na budowanie w gminach kanalizacji deszczowej. Ministerstwo Środowiska sądzi, że do zaadaptowania się do globalnego ocieplenia wystarczy 30 mln zł.

Do wyborów jeszcze kilka miesięcy, a ministerstw jest kilkanaście. W każdym z nich pieniądze, które powinny płynąć tylko tam, gdzie PiS może jeszcze bardziej wyśrubować swoje zwycięstwo. Kilkaset milionów do wydania na wsi przed wyborami to dopiero rozgrzewka władzy.

TADEUSZ JASIŃSKI

eprasa.pl 5baaa01084

Rzeź rzeźnika

Wielki pusty plac. Zamknięte na głucho budynki rzeźni. W biurowcu właściciel. Może otworzyć gabinet, zrobić kawę – i tyle. Realną władzę sprawuje syndyk masy upadłościowej urzędujący 280 km stąd. Nadzorowany przez sędziego komisarza rezydującego 130 km stąd.

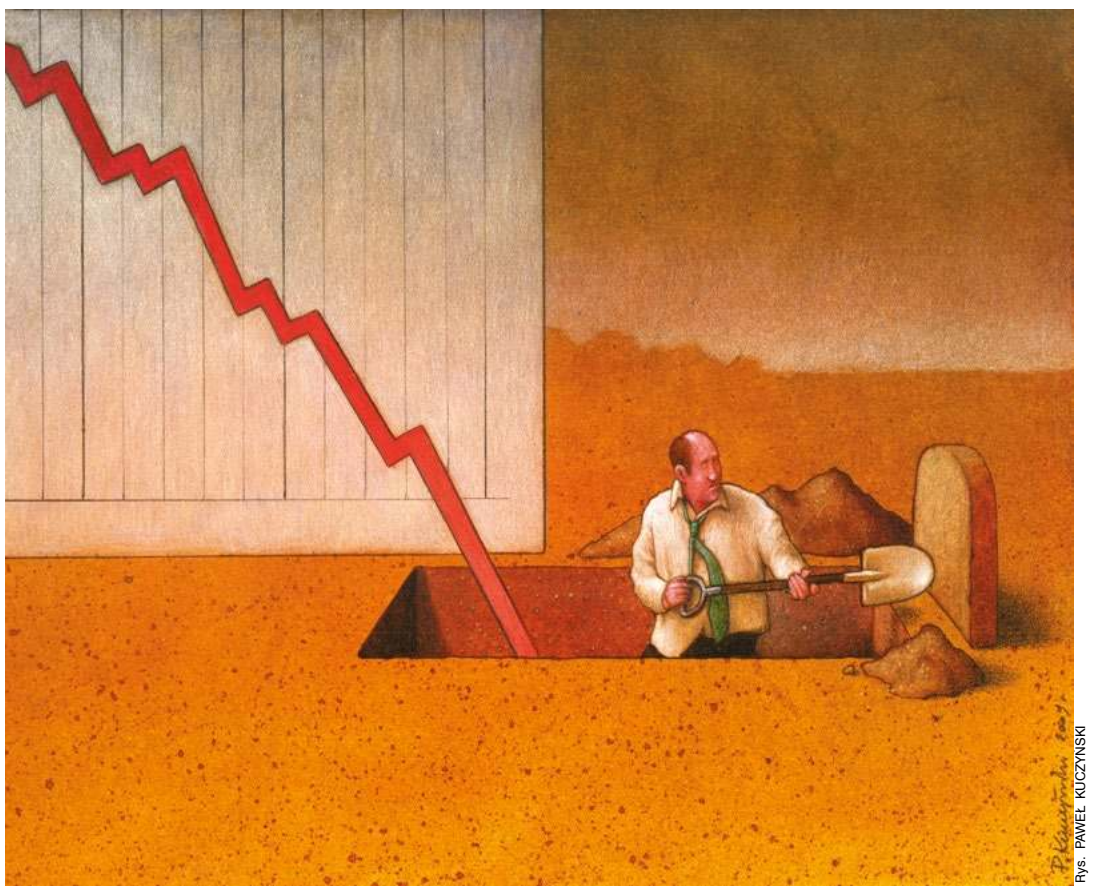

Rys. PAWEŁ KUCZYNSKI

Centralny Ośrodek Informacji Gospodarczej informuje, że mimo wzrostu gospodarczego tylko w 2018 r. syndyk pojawił się w 615 przedsiębiorstwach. Na liście firm w upadłości, restrukturyzacji i upadłości konsumenckiej znajduje się 70 tys. podmiotów.

Chyba kolega sądu

Stanisław Stankiewicz przez kilkadziesiąt lat miał rzeźnię w Poddubówku i sklepy w okolicznych miastach. Zatrudniał ponad 100 osób. W 2015 r. załamał się rynek. Gdy Stankiewicz zrozumiał, że nie da rady spłacić dostawców, ogłosił upadłość.

– To było uczciwe – mówi i podsuwa wycenę. Według przedstawionych przez niego dokumentów majątek firmy prawie dwukrotnie przekraczał jej zobowiązania.

Ważne: przed wydaniem postanowienia sąd rozpoznaje sprawę i oddala wniosek o upadłość, jeśli majątek nie wystarcza na zaspokojenie kosztów postępowania, bo jest gówno wart. Albo obciążają go hipoteki.

26 września 2016 r. Wydział Gospodarczy Sądu Rejonowego w Białymstoku ogłosił upadłość rzeźni.

– Sądziłem, że syndykiem zostanie ktoś z miejscowych fachowców – mówi gospodarz. – To byłoby logiczne. Pańskie oko konia tuczy. Chciałem współpracować, raz, dwa i po krzyku…

Na liście osób posiadających stosowne uprawnienia i mieszkających w tych stronach, zamieszczonych na stronie Ministerstwa Sprawiedliwości, jest 15 nazwisk.

Sąd wybrał na zarządcę Marcina Kopacza z Warszawy.

– To chyba kolega sądu, bo dostał w sąsiedztwie jeszcze 2 zlecenia – komentuje Stankiewicz.

Rolnikom nie zapłacił, córkę wzbogacił

Najważniejszym składnikiem majątku była ziemia. **„Działka, w skład której wchodzą budynek rzeźni, administracyjno-biurowy, warsztat, garaże, magazyn olejów i smarów, kotłownia, stacja paliw, waga wozowa, studnia głębinowa, myjnia samochodowa, silos paszowy, utwardzenie placu, ogrodzenie nieruchomości”.**

Biegły sądowy, który przed laty szacował jej wartość dla potrzeb banku, ocenił, że jest warta 5,4 mln zł. Ta wycena powstała w czasach, gdy nieruchomość leżała na zadupiu. Dziś kilka kroków dzieli ją od nowo otwartej obwodnicy. Rzeczoznawca powołany przez syndyka uznał, że nieruchomość jest warta 1,5 mln zł.

Zanim przedsiębiorca przetrawił nowinę, zainteresował się nim prokurator. Zaalarmowano go, że sprzedaż firmy nie pokryje długów.

Gdzie jest więc majątek prywatny biznesmena? – dociekali śledczy. – Jak to nie ma? Jakim prawem rozprzedał go rodzinie? Czy przenosząc własność, wiedział, że firma padnie? Może za późno ogłosił upadłość? To wygląda na ukrywanie majątku przed wierzycielami. Kryminał!

Dochodzenie było w powijakach, a Stankiewicz czytał o sobie w miejscowych gazetach: **„Rolnikom nie zapłacił, a majątek oddał rodzinie. Grozi mu za to do 8 lat więzienia”.** Dopiero na końcu tekstu znalazła się informacja, że prokuratura czeka na opinię biegłego. Czyli na razie gdyba.

Opinia okazała się zgodna z oczekiwaniami śledczych.

– Może dlatego że namiary na biegłego policja dostała od syndyka? – pyta Stankiewicz i pokazuje korespondencję między stronami.

Syndyk Kopacz zlecił prezesowi Kopaczowi

Stankiewicz nie jest naiwny. Nie sądził, że syndyk w kilka miesięcy sprzeda nieruchomość i linie produkcyjne, zapłaci wierzycielom, a resztę gotówki przeleje na jego konto. Przewidywał, że będzie pod górę i pod wiatr. Liczył jednak na współpracę.

– Syndyk ignoruje mnie – twierdzi. – Nie informuje. Nie wiem, co sprzedał, ile i komu zapłacił. Jaka jest aktualna lista wierzycieli. Odbierał adresowaną do mnie korespondencję, choć przecież mam prawnie zagwarantowaną możliwość aktywnego uczestnictwa w postępowaniu. Sąd nie odpowiada na moje wnioski.

Sąd nie widzi braków w postępowaniu syndyka. Akceptuje dołączone rachunki, nie bawiąc się w analizę.

Faktury za księgowość upadłej rzeźni wystawia VINDICO Doradztwo Gospodarcze sp. z o.o. z Warszawy. Ta sama spółka zachęca do zakupu nieruchomości w Poddubówku. Prezesem jest tam… Marcin Kopacz. Kopacz jest też udziałowcem. Syndyk Kopacz podrzuca więc prezesowi Kopaczowi zlecenia.

Czy w tej sytuacji syndyk Kopacz ma interes w jak najszybszej likwidacji firmy Stankiewicza?

Uszczegółowienie nie jest możliwe

Wysłałam do Sądu Rejonowego w Białymstoku 8 pytań, m.in.: Na jakim etapie jest likwidacja firmy w trzecim roku likwidowania? Jakie długi zostały spłacone? Jakie wynagrodzenie otrzymuje syndyk? Czy to normalne, że zlecił prowadzenie księgowości firmie, w której jest prezesem? Że za pośrednictwem tej firmy można kupić majątek upadłego? Czy rachunek na 39 776,84 zł, wystawiony przez VINDICO za księgowość przedsiębiorstwa, które zdechło, nie wzbudziła podejrzeń sądu?

Dowiedziałam się, że sędzia komisarz czuwa i wszystko jest zgodne z literą prawa. **„Uszczegółowienie odpowiedzi na zadane pytania (…) w świetle obowiązujących przepisów nie jest możliwe”.** To dziwne, zważywszy, że art. 228 prawa upadłościowego stanowi, iż postępowania upadłościowe są jawne, zaś dostęp do akt ma każdy, kto dostatecznie usprawiedliwi potrzebę ich przejrzenia.

Obszerne wyjaśnienia nadesłał za to syndyk, tyle że dużo miejsca poświęcił problemom, o które w ogóle nie pytałam. Nie odpowiedział za to, jakie konkretnie wynagrodzenie otrzymuje za swoją pracę? **„Podobnie jak raczej każdy wolę je zachować dla siebie”** – stwierdził.

Sprzedał pawilon sklepowy, ale był obciążony hipoteką. Oraz 3 samochody o łącznej wartości 12 tys. zł. Udało mu się przejąć bydło, które biznesmen przekazał synowi. W sumie uzbierało się ok. 300 tys. zł.

Niestety jest dużo kosztów. Od świadczeń dla zwalnianych pracowników po koszty sporządzania operatów. A także koszty spraw sądowych, które syndyk wytoczył żonie, córce i synowi dłużnika o uznanie za bezskuteczne czynności prawnych dokonanych przed ogłoszeniem upadłości.

– Jaka jest struktura tych wydatków? – pytam.

Syndyk podkreśla, że pieniądze wypłaca swojej spółce nieregularnie, bo kasa pusta. Stąd trafiła się zbiorcza faktura na ponad 39 tys. zł.

W upadłości

W 2018 r. polskie sądy wydały o 10 proc. więcej postanowień upadłościowych i restrukturyzacyjnych niż w roku poprzednim. To wciąż bardzo mało. W porównaniu do sąsiadów tyle, co kot napłakał. Niemcy odnotowują ponad 23 tys. rocznie upadłości, Francja ponad 60 tys., malutkie Węgry 47 tys.

Nikt dotychczas nie oszacował, w jakiej mierze jest to spowodowane brakiem dostosowania otoczenia legislacyjnego upadłości i restrukturyzacji do realiów rynku.

Bo takie jest prawo

Główny składnik majątku, nieruchomość z rzeźnią, została wystawiona do sprzedaży dopiero w maju 2019 r. Skąd niesłychanie kosztowna 3-letnia zwłoka?

Syndyk: – Dopiero w marcu 2019 r. otrzymałem niezbędną zgodę sądu na sprzedaż ziemi.

Sąd – streszczam: Takie jest prawo. Sprawa jest skomplikowana, toczy się wiele postępowań sądowych w sprawie zbycia majątku przez upadłego przed ogłoszeniem upadłości.

Zgłoszone wierzytelności z uwzględnieniem należności ubocznych, czyli odsetek, sięgnęły 8 mln zł. Nie jest możliwe zaspokojenie roszczeń z majątku upadłej firmy. Nie jest możliwe spłacenie hodowców nawet wówczas, gdy syndyk przy pomocy prokuratora przejmie majątek przekazany przez biznesmena bliskim i zapuszkuje Stankiewicza na wiele lat.

– Ja już nie liczę na te pieniądze – mówi Piotr, któremu rzeźnia wisi za stado świń. Wie, że najpierw reguluje się koszty likwidacji, potem długi wobec skarbu państwa, a dla takich jak on nigdy nie wystarcza pieniędzy.

Schować, nie schować

Kluczowa dla stwierdzenia, czy przeniesienie majątku prywatnego na bliskich to działalność przestępcza, jest sytuacja firmy w chwili złożenia wniosku o likwidację. Skracając: czy sprzedając córce samochód biznesmen działał w złej wierze? Może za późno złożył wniosek o upadłość? Dopiero wtedy, gdy schował wszystko, co miało wartość?

Główną przesłanką niewypłacalności jest nieregulowanie wymagalnych zobowiązań pieniężnych. Od 16 stycznia 2013 r. biznesmen opóźniał się z wypłatami dla dwóch dostawców i te opóźnienia rosły. W ocenie biegłego prokuratury jest to dowód na to, że wniosek o upadłość powinien złożyć już wtedy. 3 lata wcześniej niż to uczynił.

Audytor z Olsztyna kwestionuje tę opinię: **„Analiza podstawowych wskaźników ekonomicznych wskazuje na prowadzenie działalności na w miarę stabilnym poziomie”.** Dostawcy czekali dłużej na gotówkę, bo rzeźnia kwestionowała jakość surowca i podpisywano ugody.

Co do zapuszkowania biznesmena, na dwoje babka wróżyła. Obstawiałabym, że zakończy żywot w swoim łóżku, co byłoby dla niego wygodniejsze, a dla podatników tańsze.

Bezsporne jest, że tak prowadzone postępowanie upadłościowe jest studnią bez dna. I nie jest to niestety wyjątek. System nie działa. Co w przełożeniu na język fachowy brzmi tak: **„Otoczenie prawne dające niewiele narzędzi efektywnej restrukturyzacji w niezamierzony sposób poprawia statystyki upadłości. Skutkuje to większą liczbą restrukturyzacji pozasądowych”** (raport „Upadłości i restrukturyzacje w Polsce”, Warszawa 2017 r.).

Mówiąc inaczej: nie fatyguję się z zapaleniem wyrostka do chirurga, bo są większe szanse przeżycia, jeśli wytnę go sama.

BOŻENA DUNAT
bdunat@redakcja.nie.com.pl

Co puszcza Ziobro

Wyjdzie kolejny niewinnie siedzący?

Jak się nieoficjalnie dowiedzieliśmy, od ponad roku w Prokuraturze Krajowej śledczy pilnie studiują akta sprawy Jana Ptaszyńskiego, skazanego na dożywocie za zabójstwo w Białymstoku w 2001 r. matki i jej małoletniej córki („NIE” piórem Joanny Skibniewskiej pisało o tym kilkakrotnie). To widoczny przełom. Od 2005 r. bowiem, gdy mieszkaniec Michnówki (województwo podlaskie) trafił do pudła, policja, kolejne prokuratury i sądy uważały, że sprawiedliwości stało się zadość i Ptaszyński powinien dokonać żywota w mamrze.

• • •

W przypadku uwolnionych ostatnio przez sąd Tomasza Komendy i Arkadiusza Kraski kluczową rolę odegrali: policjant, który sprowadził się w okolicę popełnionego zabójstwa, o popełnienie którego oskarżono Komendę, i trochę z nudów zaczął wokół tej sprawy węszyć; oraz prokuratorka ściągnięta do sprawy z emerytury, która wnikliwie przeczytała dokumentację procesową Kraski, odnajdując w niej niespójności, przekłamania, naginanie faktów do z góry przyjętej tezy.

W przypadku Ptaszyńskiego, jak ustaliliśmy, prokuratorzy Prokuratury Krajowej wzięli się zaraz do roboty po liście od Marii Rydzewskiej-Dudek, biegłej z zakresu medycyny sądowej, która od lat twierdzi, iż zabójca bądź nawet zabójcy Marioli i Klaudii Sarosiek chodzą na wolności, a karę dożywocia odsiaduje niewinny człowiek.

Lekarka w liście do Ziobry prawdopodobnie po raz kolejny przywołała wątpliwości co do kompetencji niektórych kolegów po fachu. Były one zresztą znane m.in. sejmowej komisji sprawiedliwości i praw człowieka we wrześniu 2014 r., ale to był jeszcze gorący czas lizania ran po słynnej aferze podsłuchowej, zatem pies z kulawą nogą się tym nie zainteresował.

„Według sądu na sadystyczne działanie sprawcy miałoby wskazywać to, iż obie ofiary zostały utopione w wannie w gorącej wodzie. Zarówno dr Rydzewska-Dudek, jak i specjaliści z Akademii Medycznej w Lublinie stanowczo sprzeciwiają się teorii, że Mariola i Klaudia Sarosiek zostały utopione” – czytamy w piśmie do poprzedników posła Piotrowicza, którym czytać się nie chciało.

W dużym uproszczeniu mówiąc, ofiary – matka i córka – najprawdopodobniej zostały śmiertelnie pobite przez leworęcznego sprawcę, a następnie umieszczone w wannie. Ptaszyński jest praworęczny, a kluczowe ślady zabezpieczone na miejscu podwójnego zabójstwa nie należały do niego.

Rys. TOMASZ WIATER

eprasa.pl 5baaa01084

Dożywotni komendant

Pies odstrzelił złego człowieka. Człowiek był zły, bo domagał się zapłaty czynszu.

Ilustr. WŁODEK KIERUS

Rękę znalazł 11-letni syn Stanisława W. Leżała na podwórku. Owczarek niemiecki na rękę nawet nie spojrzał, w dal tylko gdzieś patrzył, pan Stanisław od razu więc pomyślał, że to pies przywlókł kawałek człowieka. Zadzwonił na policję.

Z protokołu oględzin ręki: **„Kończyna górna prawa na długości od barku do palców; na jednym z palców znajduje się obrączka; po stronie wewnętrznej powierzchni przedramienia ujawniono zmiany powstałe w wyniku działania wysokiej temperatury”.**

Policjanci szukali reszty, ale **„penetracja terenu celem odnalezienia zwłok ludzkich przyniosła wynik negatywny”.**

2 dni później teren penetrowali miłośnicy pamiątek z II wojny światowej. Znaleźli 3 łuski, niemiecki hełm i coś przypominającego ludzką głowę, pół ludzkiego korpusu i ludzką rękę. Nie byli pewni, czy to części człowieka, bo wszystko było zwęglone, ale na wszelki wypadek zawiadomili organy ścigania.

Do kłębka

Grupa operacyjno-dochodzeniowa przeryła okolice znaleziska. Wykryła bluzę z emblematem, czarny długopis, zegarek marki Casio i but, sztuk jeden. Policjanci okazali przedmioty rodzinom osób figurujących na liście zaginionych. Jolanta S., żona biznesmena spod Ciechanowa, stwierdziła, że należą do jej małżonka.

Funkcjonariusz z ekipy zajmującej się sprawą spotkał Mariusza W., komendanta Komisariatu Policji Warszawa Białołęka.

„Na podwórku w Kałuszynie wypłynęła ręka, teraz w lesie łeb, kawałek korpusu i druga łapa, ja pierdolę! Wszystko zjarane i ponadgryzane przez zwierzynę, chuj z taką robotą. Wyszło, że denat to Dariusz S.” – zagaił.

Komendant na to, że znał S., szkoda chłopa, ale co zrobić, takie, kurwa, życie. Zdenerwowania nie zdradził, bo umie nerwy trzymać na wodzy, ale już wiedział, że nitka wkrótce zaprowadzi śledczych do kłębka, czyli do niego, wzorowego oficera policji z perspektywami na rychły awans.

Kocia morda

5 tygodni wcześniej Mariusz W. mimo urlopu pojawił się w komisariacie. Wezwał aspiranta Mieczysława Z. Rozkazał mu, żeby przyniósł broń służbową. Zgodnie z procedurą Z. udał się do dyżurnego komisariatu, który po wydaniu gnata i amunicji z magazynu odnotował ten fakt w dokumentacji. Z. wrócił do gabinetu komendanta z giwerą. Zapytał, czy jest prowadzone przeciwko niemu postępowanie dyscyplinarne lub wyjaśniające. Komendant odparł, że giwerę zatrzymuje i to wszystko, co musi wiedzieć, a jak będzie się interesować, to dostanie kociej mordy. Mieczysław Z. odmeldował się z duszą na ramieniu, bo bał się, że huknął gdzieś z gnata po pijaku i zrobił się gnój.

Z komisariatu Mariusz W. pojechał do swego sklepu w Legionowie. Tam spotkał się z Dariuszem S., biznesmenem spod Ciechanowa, od którego wynajmował nieruchomość na prowadzenie działalności handlowej. Spotkanie widziały ekspedientki, przebiegało zwyczajnie, ale około szóstej skończyły pracę i poszły do domu. W. i S. zostali.

O ósmej W. ponownie przybył do komisariatu. Oddał do magazynu broń Mieczysława Z. wraz z amunicją. Dyżurny przeliczył pestki. Żadnej nie brakowało. Komendant zażądał, żeby w dokumentach zapisał, iż pukawkę zdał 4 godziny wcześniej, czyli o czwartej. Dyżurny wzbraniał się przed fałszerstwem, ale sądził, że Mieczysław narozrabiał, a komendant kryje mu dupę, po chwili wahania wpisał więc fałszywą godzinę. Mariusz W. pojechał do domu. Przyszła szwagierka z mężem, wypili, pożartowali trochę, wesoło było nawet.

W nocy zadzwoniła żona Dariusza S. Pytała, czy wie, co jest grane, bo mąż nie wrócił do domu. Odpowiedział, że widział się z małżonkiem, zapłacił mu za czynsz, trochę pogadali o interesach, a potem się rozstali, bo Dariusz spieszył się na jakieś ważne biznesowe spotkanie. **„Wszystko będzie dobrze, pewnie trochę zabałaganił”** – pocieszał.

Ślady na kulach

5 tygodni później pies przywlókł rękę ludzką, a wielbiciele militariów znaleźli głowę i pół tułowia.

Mariusz W. od początku był w kręgu zainteresowań policjantów komendy stołecznej, ale śledztwo nabrało pędu dopiero po odkryciu pokawałkowanych zwłok. Nade wszystko ustalono, że komendant jako ostatni widział Dariusza S. żywego.

Sekcja zwłok wykazała, że S. został zastrzelony, a funkcjonariusze Biura Spraw Wewnętrznych raz dwa wywęszyli, iż Mariusz W. zażądał od podwładnego wydania broni, a następnie nakłonił dyżurnego do wpisania fałszywej godziny zdania gnata. Pistolet Mieczysława Z. poddano badaniom, w tym dokonano odstrzałów, by porównać ślady na pociskach ze śladami widniejącymi na kulach znalezionych w ciele ofiary. Okazało się, że się różnią, a to dlatego – orzekli eksperci – **„że w ostatnich kilku tygodniach samodziałowo zeszlifowano gwint lufy pistoletu”.** Zeszlifowanie było jednak nieudolne, bo różnice okazały się minimalne i biegli stwierdzili, że z prawdopodobieństwem przekraczającym 90 proc. Dariusza S. zastrzelono z pistoletu Mieczysława Z.

Nieznane zwierzęta

Funkcjonariusze BSW przeszukali gabinet Mariusza W. Między długopisami ujrzeli amunicję pasującą do giwery aspiranta Z. (liczba pestek przy zdawaniu broni zgadzała się więc niekoniecznie dlatego że jej nie użyto). W szafie znaleźli buty. Po zbadaniu obuwia okazało się, iż na podeszwach są resztki gleby i ściółki leśnej o identycznych właściwościach jak gleba i ściółka w miejscu odkrycia ciała Dariusza S.

Prokuratura oskarżyła Mariusza W. o to, że **„w nieustalonym miejscu i nieznanych okolicznościach dokonał zabójstwa przy użyciu broni służbowej Mieczysława Z., z której oddał co najmniej 4 strzały, z czego 2 w głowę i 2 w plecy. Następnie w nieustalonym czasie przemieścił zwłoki do lasu i w celu zatarcia śladów podpalił je, na skutek czego uległy one częściowemu spaleniu, a ponadto zwłoki pokrzywdzonego uległy częściowemu rozkawałkowaniu przez nieznane zwierzęta”.**

A także o przekroczenie uprawnień, albowiem **„wykorzystując uzależnienie służbowe podległego funkcjonariusza, polecił poświadczenie nieprawdy w książce wydawania broni z pododdziału”.** I o nakłanianie do składania fałszywych zeznań.

Gdy stało się jasne, że niebawem śledczy dotrą do kłębka, Mariusz W. chciał bowiem zapewnić sobie alibi, namawiał więc swojego kolegę, byłego gliniarza, aby zeznał, iż w czasie popełnienia zbrodni byli w knajpie. Kolega zgodził się, ale wkrótce o propozycji komendanta opowiedział prokuraturze.

I tu jest pies pogrzebany.

Raporty spod celi

Mariusz W. od początku do końca procesu twierdził, że jest niewinny, ale popełnił byki, które zupełnie go dyskwalifikują jako policjanta, a także jako kandydata na profesjonalnego przestępcę.

Próba uzyskania alibi to nie był lapsus najistotniejszy. Kluczowe znaczenie miało nieudolne spiłowanie gwintu lufy pistoletu, a także pozostawienie w swoim gabinecie butów z resztkami gleby i ściółki. Pomysł, żeby odsunąć od siebie podejrzenia poprzez użycie broni Mieczysława Z. i nakłonienie dyżurnego do sfałszowania dokumentacji, świadczy zaś wręcz o dziecięcej naiwności.

Gliniarz z krwi i kości powinien wiedzieć, że ze współwięźniami należy rozmawiać wyłącznie o dupach i kręceniu śmigłem, tymczasem Mariusz W. za kratami popisał się całkowitą amatorszczyzną i gdy tylko trafił do aresztu, przyjacielowi z ciupy opowiedział o konflikcie z Dariuszem S.

„Zainwestowałem w remont sklepu 70 tysięcy, chciałem, żeby obniżył czynsz. Nie zgodził się. Zaproponowałem, żeby wszedł do spółki. Odmówił. No to nie płaciłem mu za czynsz. Miałem jakieś 15 tysięcy zaległości” – wyznał.

Mówił także o przerobieniu lufy pistoletu Mieczysława Z. (**„Nie po to ją, kurwa, spiłowałem, żeby pójść siedzieć!”**) i o próbie uzyskania alibi (**„Najpierw obiecał, że mi je da, a potem w chuja mnie zrobił, jebaniec”**). Stwierdził również, że **„Dariusz S. był złym człowiekiem i swoim złym życiem zasłużył na taką śmierć”.** Przyjaciel z ciupy z wynurzeń Mariusza W. sporządzał zapiski. Przesłał je prokuraturze, zaznaczając, że robi to **„ze względu na poczucie obowiązku niesienia pomocy państwu”.** Podczas procesu raporty uznano za ważną poszlakę, wskazującą na winę Mariusza W.

Szczególne potępienie

Proces komendanta trwał 5 lat. Sąd Okręgowy w Warszawie skazał go na dożywocie, bo nie znalazł żadnych okoliczności łagodzących, za to wskazał obszerną listę obciążających. Wśród nich fakt, że Mariusz W. był policjantem. **„Niektóre ciężkie przestępstwa winny spotykać się ze szczególną dezaprobatą i szczególnym potępieniem. Zbrodnia zabójstwa dokonana przez osobę, która z racji wykonywanego zawodu i pełnionej funkcji zajmowała się wykrywaniem i ściganiem przestępstw, bezspornie należy do tej kategorii. Oskarżony był nie tylko długoletnim funkcjonariuszem policji, ale od szeregu lat zajmował wysokie stanowiska. Nie może pomieścić się w głowie, że komendant komisariatu świadomie może dopuścić się zbrodni zabójstwa, ale bynajmniej wcale nie może to oznaczać, aby dwa pozostałe czyny objęte zarzutami zasługiwały na taryfę ulgową. No bo cóż może usprawiedliwiać funkcjonariusza policji, pełniącego wysokie stanowisko, który przekracza swoje uprawnienia i wykorzystując uzależnienie służbowe podległego mu funkcjonariusza policji, poleca poświadczenie nieprawdy w dokumencie, jak też nakłania swojego kolegę do złożenia fałszywych zeznań? Odpowiedź jest prosta: nic i nikt”.**

Sąd przyjął, że Mariusz W. zastrzelił Dariusza S. z powodu zaległości czynszowych i nieporozumień na tle finansowym, ale uznał, że w grę wchodził również motyw psychologiczny.

Czynnik stresowy

W. gruntowanie przebadali psychologowie i psychiatrzy. Orzekli, że legitymuje się inteligencją znacznie wyższą od przeciętnej, jest silnym typem osobowości, nie posiada skłonności do agresji oraz jest zdrowy na umyśle. Dlaczego okazał się zdolny do zabójstwa z zimną krwią, spalenia ciała i pozostawienia go w lesie? Biegli doszli do wniosku, że z powodu paskudnej skazy na charakterze. **„Mariusz W. jest przeświadczony o swym wysokim statusie społecznym oraz o tym, że inni ludzie powinni traktować go zgodnie z tym wysokim statusem. Zachowania agresywne wobec Dariusza S. podniosły poczucie jego wartości; redukowały lęk i niepewność; podwyższały samoocenę; przywracały poczucie siły i utwierdzały w przekonaniu, że ma kontrolę nad otoczeniem i swoim życiem. Zaległości finansowe wobec Dariusza S., fakt, że domagał się on uregulowania należności, stanowiły dla Mariusza W. czynnik stresowy, bo pieniądze są dla niego wyrazem statusu oraz środkiem do budowania i podtrzymywania własnej wartości. Poczucie mocy zostało u niego zachwiane lub zredukowane, pojawiła się złość, która zakłóciła ocenę intelektualną; sprzyjała impulsywności i wrogości”** – czytamy w opinii.

Na usta ciśnie się pytanie, jak wyznawca hierarchii wartości charakterystycznej dla bandytów został oficerem policji i komendantem stołecznego posterunku. W trakcie procesu odpowiedź nie padła, a szkoda.

Tak czy siak Mariusz W. miejsce w historii ma zapewnione: jest pierwszym i – jak dotychczas – jedynym oficerem policji skazanym na dożywocie.

MACIEJ MIKOŁAJCZYK
mikolajczyk@redakcja.nie.com.pl

Np. włos znaleziony w dłoni zamordowanego dziecka nosił niezidentyfikowany do dziś mężczyzna.

• • •

„Na szczególną uwagę zasługuje osoba Wojciecha R. (chłopak najbliższej przyjaciółki zamordowanej), którego stosunek do Marioli Sarosiek był bardzo negatywny, a jego zachowanie, opisane w zeznaniach wielu świadków, określone było jako dziwne” – czytamy dalej to, co powinno było skłonić ówczesne służby oraz instytucje państwowe do natychmiastowego działania, a czego prokuratorzy zapewne teraz nie odpuszczą:

- w czasie przesłuchania przez policję wzbraniał się przed zdjęciem odcisków palców, był agresywny i zdenerwowany, zachowywał się jak gdyby miał coś na sumieniu;
- nie stawiał się na wezwania sądu celem złożenia zeznań podczas rozprawy i nie został przesłuchany przez sąd;
- w portfelu przechowywał kartkę z dokładnym opisem ostatnich trzech dni przed odnalezieniem zwłok. Twierdził, że ta kartka była po to, **„że jak go z znienacka zgarną z ulicy czy z domu, to będzie miał czas, żeby to przeczytać”.** Interesującą sprawą jest to, że opis dotyczył wyłącznie 3 dni poprzedzających odnalezienie zwłok – od 28 listopada 2001 r., a nie np. 2 czy 4 dni;
- alibi miała mu zapewnić jego koleżanka Wioletta. Z ustaleń Karoliny H.-S. wynika, iż rozmowa dotycząca zapewnienia alibi pomiędzy Wojciechem R. a jego koleżanką odbyła się jeszcze w listopadzie! Zwłoki ofiar odnaleziono 1 grudnia 2001 r.;
- dziwne było zachowanie Wojciecha R. przed blokiem przy ul. Jurowieckiej w chwili gdy przybyła tam policja po odnalezieniu zwłok. Mimo iż wiedział, że Mariola i Klaudia Sarosiek zniknęły, nie zainteresował się, co się tam stało, tylko bez słowa oddalił się;
- zaraz po tym zdarzeniu bez pożegnania wyjechał do Belgii; jak twierdził, **„miał dość ciągania przez policję”**;
- Mariola Sarosiek nie lubiła Wojciecha R. Nie chciała, żeby jej przyjaciółka Karolina H.-S. dalej się z nim spotykała;
- wiedziała, że Wojciech R. uderzył Karolinę H.-S. Bardzo jej się to nie podobało;
- Wojciech R. był osobą niezrównoważoną, wybuchową i nadpobudliwą;
- Wojciech R. był w mieszkaniu Marioli Sarosiek przy Jurowieckiej dwukrotnie. Ostatni raz w poniedziałek 26 listopada 2001 r.;
- z jego relacji wynika, że zajrzał wtedy do łazienki. Przyznał, że u Marioli Sarosiek w łazience są jego odciski palców, ale jednocześnie podkreślał, że nie dotykał ani zlewu, ani wanny;
- Wojciech R. lubił pić alkohol; jego ulubione wódki to „Bols” i „Premium” (butelkę po „Premium” zabezpieczono na miejscu zbrodni);
- Karolina H.-S. podejrzewała go, że może mieć związek z tym zabójstwem; po zabójstwie dziwnie się zachowywał, unikał jej. Nic jej nie powiedział ani o przesłuchaniu, ani o rewizji w jego domu, twierdził, że zapomniał o tym z nerwów.

• • •

Jeśli ludziom Ziobry uda się ściągnąć z Belgii na przesłuchanie Wojciecha R., ekshumować trupa mężczyzny, z którym denatka mogła utrzymywać stosunki intymne, przyjrzeć się wnikliwie osobie aspiranta sztabowego Dariusza H., obecnego funkcjonariusza Centralnego Biura Śledczego Policji, który pracował nie tylko przy sprawie Ptaszyńskiego, ale i Adama Dudały (o którym jako bezzasadnie skazanym też ostatnio głośno), odnaleźć pracownicę Sądu Okręgowego w Białymstoku, która wymuszała na biegłej sądowej ekspresowe sporządzenie opinii niekorzystnej dla „dożywotniaka” z Michnówki, będzie to wystarczający powód do tego, aby PiS miało nadal wysokie notowania sondażowe nie tylko z powodu „500 plus”. Bo to za tych rządów odzyskują wolność ci, na których „opcja proeuropejska” przez wiele lat stawiała krechę. To musi podobać się zwykłym ludziom, bo wyciska łzy podczas programów TVP nagrywanych przed bramami więziennymi.

WJK

eprasa.pl 5baaa01084

Z CZARNEJ DUPY się wyrwało

■ Próba ***zohydzenia chrześcijaństwa i Kościoła,*** tak nierozerwalnie w dziejach związanego z ***Polską i polskością,*** ma na celu nie tylko osłabienie jego pozycji w społeczeństwie, ale także ***osłabienie ducha narodu.***

abp Stanisław Gądecki, oświadczenie, 17 czerwca

■ Nie jest to problem marginalny, ale zrobił się z tego ***atak totalny,*** w którym chodzi o zawładnięcie pewnych sfer życia społecznego, które można by udostępnić w dalszej kolejności ***demoralizacji.*** Taki jest cel tego działania, jak widać chociażby przez ostatnie ***akty profanacji.***

Sebastian Karczewski, Radio Maryja, 17 czerwca

■ ***Te środowiska*** [LGBT] są coraz bardziej rozzuchwalone. Pomimo wychodzenia na jaw ich ***niegodziwości, fałszerstw i kłamstw,*** nie ma do tej pory stanowczej reakcji, której należałoby się spodziewać, bo to jest zagrożenie. Pamiętamy, co było ***w III Rzeszy*** przed dojściem Hitlera do władzy. Tam też były ugrupowania, które chodziły, demonstrowały swoje poglądy, tłukły szyby, zakłócały nabożeństwa religijne. Wtedy uważano je za margines. Jak to się zakończyło, wiemy z historii.

dalej Karczewski

■ Dzisiejszy sposób ***kwestionowania autorytetu Kościoła*** nie ma charakteru intelektualnego, lecz ideologiczny. W procesie wytoczonym Kościołowi próbuje się dowieść, że nie ma w nim ludzi prawych, a wiara jest jedynie hipokryzją. Dąży się do zdyskredytowania Boga i ***obrzydzenia całego Kościoła.***

dalej Gądecki

■ ***Ideologia LGBT*** jest równie ***obłędna, równie chora*** i potencjalnie równie ***zbrodnicza jak bolszewizm i nazizm.*** Trzeba ją demaskować i ***ze wszystkich sił zwalczać*** – nie jako zagrożenie dla wartości, które nie wszyscy podzielają, ale jako zerwanie z elementarnym zdrowym rozsądkiem i instynktem samozachowawczym.

Rafał Ziemkiewicz, „Do Rzeczy", 17 czerwca

■ Chodzi tu o przebudowę całego porządku świata. Taki zresztą był od zawsze ***cel rewolucji bolszewickiej.*** Wprowadzić nową religię (zamiast Boga miłości - ***bożek bezmyślnej tolerancji***). Dalej – wprowadzić nową metafizykę (w miejsce realnego świata wyrażonego w binarnym układzie płci – ***chaos bezzasadnych orientacji seksualnych***). Dalej – wprowadzić nową etykę (w miejsce etyki szacunku dla człowieka, ***etyka nienawistnej walki z każdym,*** komu odmawia się słuszności poglądów). To także projekt nowego ładu społecznego – nie budowanego już na rodzinie, ale na ***popędzie seksualnym. Ideologia LGBT*** chce stworzyć po raz kolejny nowy ład i nowy świat. Ale każdy taki projekt ma znamiona, nie waham się powiedzieć, ***szatańskiej destrukcji.*** Bo jest opozycją i to radykalną wobec Boga.

ks. prof. Paweł Bortkiewicz, Fronda.pl, 18 czerwca

■ Przypomnijmy sobie czasy ***przedbolszewickiej Rosji,*** przypomnijmy sobie czasy po ***dojściu Hitlera do władzy,*** czyli przed tym, co rozpoczęło się w 1939 r. Wtedy było dokładnie tak samo. Kiedy chciano ***uderzyć w Kościół*** – zaczęto od kapłanów. Najpierw przez ***zohydzanie obrazu kapłana*** i Kościoła, przez przypisywanie księżom jak największych zbrodni czy niemoralności, później przyszły i bezpośrednie ***fizyczne ataki na Kościół.*** To nie jest fikcja, widzimy, do czego dochodzi. Jeżeli porównamy to z wydarzeniami z historii – mamy dokładnie z tym samym do czynienia. Jeżeli w porę nie położy się na to kres, jeżeli się na to nie odpowie, może być jeszcze gorzej.

Karczewski

■ ***Środowiska homoseksualne*** potrzebują nie tylko akceptacji swojej ideologii na poziomie prawnym, ale i religijnym, o wiele ważniejszym, bo normującym moralnie ich zachowanie. To, co robią, to nic innego jak takie ***Gott mit uns,*** bo jeżeli za nimi będzie się wstawiała ***Matka Boża tęczowa,*** a ich intencje będą zanoszone na homoseksualnym ołtarzu, to będzie im wolno robić wszystko i każda ***niegodziwość i obrzydliwość będzie usprawiedliwiona,*** a nawet podniesiona do rangi niby sakramentu (…). Myślę, że i oni ***potrzebują Boga*** i doświadczenia religijnego, a nie potrafiąc odrzucić swoich ***ohydnych homoseksualnych praktyk,*** chcą je ***ubrać w pobożnościową religijną otoczkę.***

ks. Tomasz Kancelarczyk, Facebook, 18 czerwca

■ Nie tylko ***wykorzystanie bezbronnego dziecka*** powoduje rany na całe życie. ***Sfera seksualności*** jest tak wrażliwa, że każde wykorzystanie i porzucenie, także osoby dojrzałej, głęboko ją ranią i powodują w jej życiu dalekosiężne negatywne skutki. Ponadto rozmaite ***grzechy przeciwko czystości*** są wzajemnie ze sobą powiązane. (…) Komu zatem jest bliski los ofiar różnych nadużyć seksualnych, powinien – w ramach holistycznego podejścia – zaangażować się w ***promowanie kultury czystości.***

Gądecki

■ Trzeba ***zlikwidować gender w szkołach i na uniwersytetach,*** zabronić szerzenia ideologii wrogiej narodowi polskiemu itp.

dalej Bortkiewicz

Wybrał **WALDEMAR KUCHANNY**
wkuchanny@redakcja.nie.com.pl

Orzeł i resztka

Proroctwo się spełniło: podczas Marszu Równości w Częstochowie dwoje małych Polaków katolików doznało obrażeń. Opatrzność sprawiła, że oczu, a nie odbytu.

Starcie dziecięcej armii Maryi ze zwyrodniałą hordą dewiantów zapowiadano od dawna, przedstawiając je jako kolejną odsłonę wywołanej przez sodomitów wojny kulturowej. Już w maju larum wyśpiewała zawsze wierna i zawsze czujna Anna Sobecka, posłanka PiS, występując do Rzecznika Praw Dziecka o podjęcie **„natychmiastowych działań zmierzających do ochrony dzieci mających przybyć do Częstochowy w ramach XX Ogólnopolskiej Pielgrzymki Podwórkowych Kółek Różańcowych Radia Maryja". „Pragnę poinformować o poważnym zagrożeniu, do jakiego może dojść w tym dniu. Otóż za oficjalną zgodą Prezydenta Miasta Częstochowy u stóp Jasnej Góry rozpocznie się II Marsz Równości organizowany przez środowiska LGBT. Zarówno czas, jak i miejsce tej manifestacji są nieprzypadkowe i noszą znamiona zaplanowanej prowokacji. Istnieje uzasadniona obawa, że dzieci mogą stać się świadkami demoralizujących i obscenicznych zachowań"** – skrobnęła była spikerka Radia Maryja.

Mikołaj Pawlak, autor zawołania **„Ręce precz od łóżeczek naszych dzieci!",** nie mógł pozostać głuchy na tak dramatyczne wołanie – żeby ręce sodomitów były tam, gdzie ich miejsce, interweniował u wojewody śląskiego oraz komendanta wojewódzkiego policji w Katowicach.

„Mając na uwadze formę tzw. marszu równości, jaki odbył się w Gdańsku i licznych kontrowersji z nim związanych, istnieje realna obawa, iż tym razem impreza przyjmie postać konfrontacyjną wobec pielgrzymki młodych katolików. W przypadku, w którym uznają Państwo, że przebieg imprezy w Częstochowie zagraża bezpieczeństwu dzieci, proszę o skorzystanie z wszelkich możliwych środków" – napisał do komendanta i wojewody.

Non possumus! Na ratunek małym i niewinnym katolikom pospieszył także abp Wacław Depo, metropolita częstochowski, głosząc, że Marsz Równości w dniu pielgrzymki to nie tylko prowokacja wymierzona w dzieci, ale w całą katolicką Polskę, i wzywając naród polski do modłów ekspiacyjnych. Artur Sokołowski, częstochowski działacz PiS i wiceprezes Regionalnego Funduszu Gospodarczego, spółki skarbu państwa, zamiast sił nadprzyrodzonych na pomoc wezwał kiboli. **„Zwracam się do wszystkich kibiców sportowych, którym Jasna Góra zawsze chętnie udziela gościny podczas dorocznych Pielgrzymek Kibiców. Przyszedł czas spłacić część długu wdzięczności i stanąć w obronie Naszej Matki. »*Non possumus!*« – napisali w liście polscy biskupi komunistycznym władzom, które w odpowiedzi na 3 lata uwięziły Prymasa Tysiąclecia, ks. kardynała Stefana Wyszyńskiego. Dzisiaj Prymas Niezłomny patrzy na nas nie tylko z pomnikowego oblicza u stóp Jasnej Góry, ale także z nieba. Działajmy! Nie dopuśćmy, aby Częstochowa i Jasna Góra stały się areną gorszących wydarzeń, hańbiących dobre imię Polski, wymierzonych w jej Duchową Stolicę i uderzających w ponadtysiącletnią tradycję polskiego katolicyzmu"** – zaapelował do patriotów kibicującym ukochanym drużynom, w tym biało-czerwonej drużynie prezesa Kaczyńskiego.

Żeby zapobiec demoralizacji i aktom pedofilskim interweniowały także „Nasz Dziennik", „Gazeta Polska Codziennie" i portal braci Karnowskich, a dr Artur Dąbrowski, prezes Akcji Katolickiej Archidiecezji Częstochowskiej, stawał na głowie, żeby wykluczyć **„możliwość kontaktu dzieci z rzeczywistością promowaną przez środowiska LGBT".** Powszechność protestu nie może dziwić, bowiem od paradowania sodomitów po duchowej stolicy Polski bardziej bluźniercze jest tylko służenie Niemcowi z durszlakiem na głowie, choć ministrant w niemieckim hełmie w polskość godziłby głębiej.

Jaja faszystów. W tym stanie rzeczy w niedzielę 16 czerwca Roku Pańskiego 2019 oczy całej Polski zwrócone były na Częstochowę. Obawy obrońców cnoty polskich dzieci w pełni się potwierdziły: podczas II Marszu Równości dwoje młodych katolików doznało obrażeń. Dzięki Najświętszej Panience oraz kibicom sportowym oczu, a nie odbytu, ale nie zmienia to faktu, że proroctwo Sokołowskiego wypełniło się i Częstochowa stała się areną wydarzeń gorszących, hańbiących i uderzających w katolickie jądro.

Dominik Puchała, rzecznik i organizator Marszu Równości, twierdzi, że tęczowi gorszyciele nie mieli z tym nic wspólnego.

– Dzieci ucierpiały, bo wskutek zachowań przeciwników marszu policja użyła gazu łzawiącego – mówi. – One nie uczestniczyły w pielgrzymce kółek różańcowych, tylko przyszły z rodzicami biorącymi udział w kontrmanifestacji. Zachowanie policjantów pozostawiało sporo do życzenia. Gdy faszyści rzucali w nas jajkami, nie reagowali. Interweniowali dopiero wtedy, gdy im samym się dostało. A jak użyli gazu, to natychmiast sugerowali rozwiązanie marszu, twierdząc, że sytuacja może się wymknąć spod kontroli. Wcześniej niemrawo usuwali z trasy przemarszu próbujących nas zablokować kiboli i narodowców. Ale nie ma co rozpaczać. Marsz był udany. I nie był żadną prowokacją. Gdybyśmy chcieli organizować przemarsz w dniu wolnym od pielgrzymek, to nie zorganizowalibyśmy go nigdy, bo do Częstochowy ciągle przybywają jacyś pątnicy. Z uczestnikami pielgrzymki kółek różańcowych nie mieliśmy zresztą żadnego kontaktu, bo dzieci do Częstochowy przywieziono autobusami, a potem cały czas były na jasnogórskich błoniach. To teren klasztorny, nie mieliśmy więc szans, żeby je zgorszyć.

Zdjęcia: WOJCIECH DOMAGAŁA

Sabina Chyra-Giereś, rzeczniczka Komendy Miejskiej Policji w Częstochowie, przyznaje, że dwoje dzieci doznało obrażeń po użyciu miotacza gazowego przez funkcjonariuszy.

– Wcześniej wzywali osoby postronne, aby opuściły teren planowanej interwencji wobec agresywnych i niepodporządkowujących się poleceniom mężczyzn – twierdzi. – Opiekunowie dwójki małoletnich nie posłuchali, pozostali na miejscu wraz z dziećmi, mimo że policjanci wezwania powtarzali kilka razy. Skończyło się na podrażnieniu oczu. Policyjny zespół medyczny natychmiast udzielił dzieciom pomocy. One nie uczestniczyły w pielgrzymce. Nie otrzymaliśmy żadnego zgłoszenia wskazującego na to, że doszło do wykroczeń bądź przestępstw popełnionych wobec uczestników pielgrzymki podwórkowych kółek różańcowych. Ale kilka innych zawiadomień do nas trafiło.

Wojna trwa. Policję zawiadomiono o znieważeniu godła państwa polskiego, bo uczestnicy Marszu Równości machali flagami z orłami na tęczowym tle. I o obrazie uczuć religijnych, bo dzierżyli obraz Matki Boskiej tęczochowskiej. To słuszne i zbawienne, gdyż orzeł i matka w kolorze mogły silniej wniknąć w dusze młodych Polaków niż gromkie okrzyki: **„Sodomici, wypierdalać!"** lub **„Policyjna pała broni dziś pedała!"**, wznoszone przez przeciwników marszu.

Orzeł na tęczowym tle był bohaterem także pierwszego Marszu Równości w Częstochowie. Joachim Brudziński, wtedy jeszcze szef MSWiA, po jego zakończeniu ogłosił, że **„powiadomiono prokuraturę o znieważeniu i profanacji symboli narodowych".** Prokuratura nie stanęła na wysokości zadania: postępowanie umorzyła, bo z opinii biegłego wynikało, że **„z uwagi na zmiany barwy czerwonej na kolor tęczy nie mamy do czynienia z ekspozycją flagi i herbu RP, ale z aluzyjną interpretacją nieposiadającą w najmniejszym stopniu cech wskazujących na intencje świadomego znieważenia symboli państwowych".**

Na koniec XX Pielgrzymki Podwórkowych Kółek Różańcowych ojciec Tadeusz Rydzyk serdecznie pozdrowił wszystkich uczestników, a 25 szczęśliwcom wręczył wylosowane przez nich rowery. Z pedałami.

MACIEJ MIKOŁAJCZYK
mikolajczyk@redakcja.nie.com.pl

eprasa.pl 5baaa01084

Pałac wariatów

Kościół kat. przy wsparciu PiS ukradł należący do samorządu XIX-wieczny zamek, a teraz wyrzuca na bruk ponad stu niepełnosprawnych, którzy znaleźli w nim schronienie. W obliczu bezprawia prokurator bezradnie rozłożył ręce!

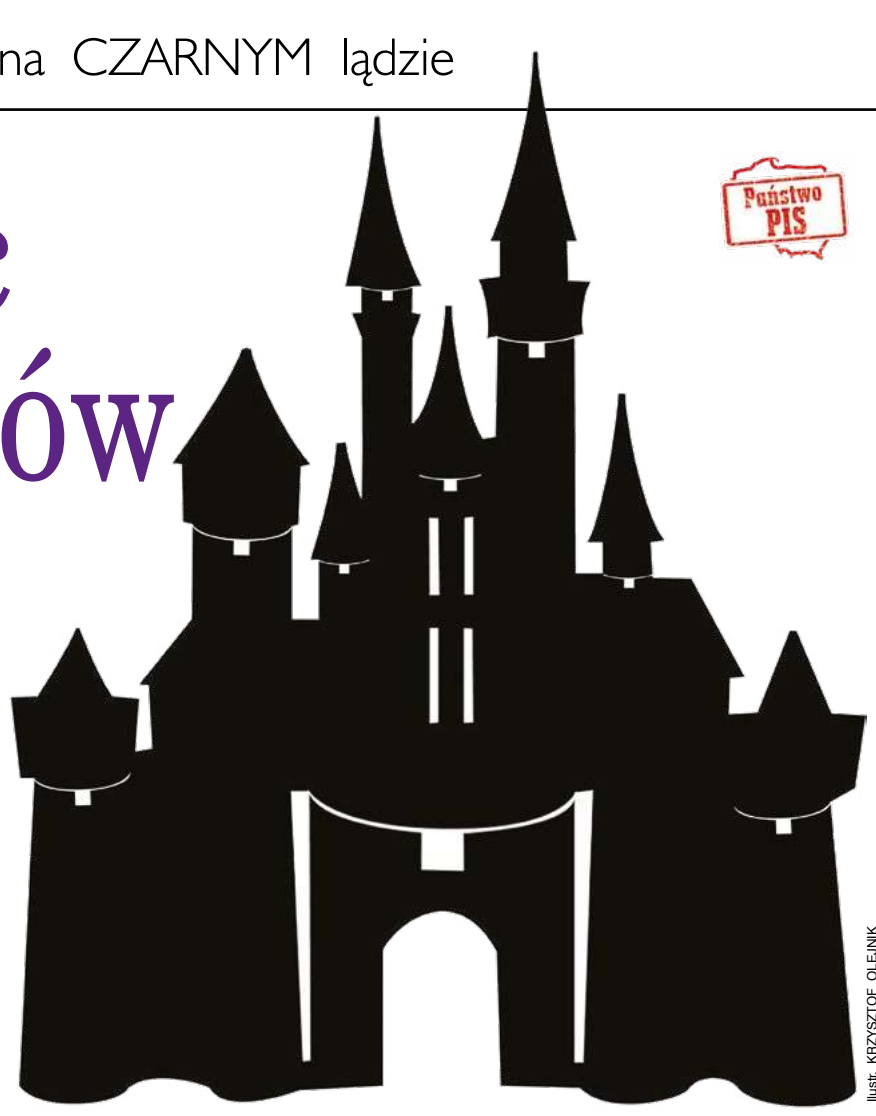

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Zamek Leśna Skała (Waldstein) w Szczytnej niedaleko Kłodzka został wybudowany w 1837 r. jako rezydencja magnata Leopolda hrabiego von Hochberga. Przez następne lata posiadłość wielokrotnie zmieniała właścicieli. W czasie II wojny światowej rezydowali w niej żołnierze Wehrmachtu, a w 1945 r. Armia Czerwona. Po wojnie zamek upaństwowiono. Okrutna komuna utworzyła w nim Dom Opieki Społecznej (DPS) dla niepełnosprawnych intelektualnie dzieci. Po reformie administracyjnej w 1999 r. obiekt stał się własnością powiatu kłodzkiego, który przejął obowiązki w zakresie pomocy społecznej od państwa. Obecnie w DPS mieszka ponad stu upośledzonych dorosłych mężczyzn. Wkrótce sielanka się skończy, a pensjonariusze zostaną wywiezieni do przepełnionych ośrodków dla czubków w odległych rejonach Polski. Pracę straci kilkadziesiąt osób, które pracowały w DPS.

• • •

Historia ma początek w 1991 r., kiedy to Dom Misyjny Księży Misjonarzy Świętej Rodziny wystąpił do rządowo-kościelnej Komisji Majątkowej (zajmującej się przyznawaniem rekompensat Kościołowi za mienie utracone w PRL) o zwrot zamku i prawie 200 ha otaczającego go lasu. W 1992 r. ojczulkowie ograniczyli żądania. Chcieli zamek i 50 ha. Zapewniali, że wszystko zostanie po staremu: nie wyrzucą niepełnosprawnych na bruk, tylko za niewielką opłatą wydzierżawią obiekt.

Przedstawiciele wojewody, władze Szczytnej i DPS zgodnie twierdzili, że żądania funkcjonariuszy Pana Boga są bezpodstawne. Dom Misyjny Księży Misjonarzy Świętej Rodziny nigdy nie był bowiem właścicielem zamku. Jak wynikało z zapisów w niemieckich księgach wieczystych, przed wojną nieruchomość należała do innego zgromadzenia – Misjonarzy Maryi Nieustającej Pomocy *(Mariahilfe)*, a potem została przejęta przez III Rzeszę. I najważniejsze:

Polska Ludowa zamku Kościołowi nie zabierała, nie było więc powodu, aby go oddawać.

Jednak w 1993 r. Komisja Majątkowa przyznała misjonarzom ponad 15 ha lasu, w którym znajdowały się stacje drogi krzyżowej.

• • •

Księża nie odpuszczali. W 1994 r. złożyli kolejny wniosek do Komisji Majątkowej. Napisali w nim, że nie są zainteresowani przejęciem całego zamku, tylko jego części – skrzydła północnego oraz sal Rycerskiej i Muzeum Misji. W 1995 r. komisja przyznała klechom wieżę i przedsionek oraz prawo do korzystania z drogi, dojścia i dojazdu do nieruchomości.

I tego było im mało! W 2005 r. adwokat misjonarzy Krzysztof Mazur zwrócił się do Komisji Majątkowej o zwrot całego zamku. Zażądał, aby posiedzenie komisji było tajne i żeby nie powiadamiano władz powiatu kłodzkiego o kolejnych roszczeniach. Tak też się stało. W październiku 2006 r. (gdy rządziło PiS, a premierem był Jarosław Kaczyński) za plecami samorządowców komisja przekazała zamek księżom.

W 4-osobowej komisji, która podjęła tę skandaliczną decyzję, zasiadali: Rajmund Jaroszek, adwokat Krzysztof Wąsowski, ks. Mirosław Piesiur (ekonom Archidiecezji Katowickiej, zamieszany w wiele podejrzanych przejęć państwowego majątku) i pracownica Kancelarii Senatu Aleksandra Sulkowska.

Jaroszek w pierwszym rządzie PiS był szefem gabinetu politycznego „trzeciego bliźniaka" – ówczesnego wicepremiera i szefa MSWiA – Ludwika Dorna. W 2008 r. został dyrektorem warszawskiego oddziału biura spółki Famur należącej do śląskich biznesmenów Jacka i Tomasza D. Jaroszek, będąc członkiem komisji i dyrektorem w Famurze, zwracał zakonom setki hektarów gruntów, które potem trafiały w ręce rodziny D.

Interesującą postacią jest też Wąsowski, uważany za człowieka bliskiego PiS. Mecenas współpracuje z fundamentalistycznym religijnym instytutem Ordo Iuris, a także z Fundacją Republikańską będącą zapleczem eksperckim partii rządzącej. Po wygranych przez PiS wyborach Wąsowski został powołany przez ówczesnego wicepremiera i ministra rozwoju Mateusza Morawieckiego do zespołu ekspertów przygotowujących projekt „Konstytucji dla biznesu", a przez premier Beatę Szydło w skład rady Krajowej Szkoły Administracji Publicznej im. Prezydenta Rzeczpospolitej Polskiej Lecha Kaczyńskiego. W radzie zasiadają najwierniejsi żołnierze prezesa, m.in. szef kancelarii premiera Michał Dworczyk, minister finansów Marian Banaś, wicepremier Jarosław Gowin, doradca prezydenta Dudy Andrzej Zybertowicz. W 2016 r. Wąsowski nieoczekiwanie zrezygnował z funkcji Rzecznika Dyscyplinarnego Izby Adwokackiej w Warszawie. Nie chciał zdradzić powodów rezygnacji, ale dziennikarze ujawnili, że ciążyły na nim prokuratorskie zarzuty w związku działalnością w Komisji Majątkowej.

• • •

Samorządowcy z Kłodzka byli w szoku, gdy po fakcie dowiedzieli się o przekazaniu zamku przez komisję. Sprawa była przedmiotem śledztwa. Ustalenia są jednoznaczne i nie pozostawiają wątpliwości, że doszło do złamania prawa. Prokurator stwierdził m.in.: **„Zgromadzony materiał dowodowy pozwala bowiem na przyjęcie, iż orzeczenie Komisji Majątkowej (…), na mocy którego przywrócono nieodpłatnie Domowi Zakonnemu Misjonarzy Świętej Rodziny w Szczytnej nieruchomości (…), zostało wydane z rażącym naruszeniem przepisów ustawy, dotyczących nabycia praw własności przez Kościół katolicki na tzw. terenach odzyskanych. Nieprawidłowości te polegają w pierwszej kolejności na wydaniu orzeczenia pomimo nieustalenia ponad wszelką wątpliwość faktycznego właściciela zamku w Szczytnej (…), a tym samym możliwości wstępowania w rolę następcy prawnego holenderskiego zakonu »Mariahilfe« przez opisany wyżej Dom Zakonny. W prowadzonym postępowaniu regulacyjnym bezkrytycznie przyjęto, iż Dom Zakonny Misjonarzy Świętej Rodziny posiada legitymację czynną do wystąpienia z wnioskiem o zwrot wyżej wskazanej nieruchomości i pomimo zgłaszanych przez uczestników postępowania wątpliwości w tym zakresie, nie przeprowadzono stosownych dowodów. Ponadto dokonano błędnej interpretacji treści art. 61 ustawy o stosunku Państwa do Kościoła katolickiego w Rzeczypospolitej Polskiej przez członków Komisji poprzez przyjęcie, iż na Ziemiach Odzyskanych polski Kościół katolicki jest następcą prawnym odpowiednich jednostek i osób prawnych Kościoła katolickiego III Rzeszy Niemieckiej. Tymczasem uchwałą Sądu Najwyższego (…) wpisano do księgi zasad prawnych następującą zasadę: »Jednostki organizacyjne związków wyznaniowych działających na obszarze Polskiej Rzeczpospolitej Ludowej nie mogą być uważane w stosunku do niemieckich i gdańskich osób prawnych prawa publicznego za odpowiednie osoby prawne (…) – zatem majątek niemieckich i gdańskich osób prawnych prawa publicznego nie przeszedł z mocy samego prawa na wspomniane związki religijne«. W dalszej kolejności wskazać należy na nieprawidłowości polegające na kilkukrotnym wydawaniu orzeczeń przez Komisję Majątkową w odniesieniu do tego samego podmiotu kościelnego i wnioskowanej nieruchomości – wbrew przepisom ustawy stanowiącym o ostateczności wydanego przez Komisję orzeczenia. (…) Ponadto Komisja Majątkowa nie wypełniła ciążącego na niej obowiązku powiadomienia Starostwa Powiatowego w Kłodzku o podjęciu na nowo w 2006 r. postępowania regulacyjnego, dotyczącego zamku w Szczytnej będącego we władaniu tegoż powiatu oraz wydała orzeczenie na posiedzeniu, bez przeprowadzania stosownej rozprawy".**

Mimo tak druzgocących ustaleń prokurator nie zdecydował się postawić w stan oskarżenia członków komisji. Uznał, że nie byli oni urzędnikami, nie ponoszą więc odpowiedzialności za swoje działania.

• • •

Władze powiatu kłodzkiego znalazły się w patowej sytuacji. Nie tylko straciły (wyceniany na 8,5 mln zł zgodnie z operatem szacunkowym z października 2006 r.) zamek, ale i stanęły przed realną groźbą likwidacji domu opieki. Ojczulkowie byli jednak ugodowi i wydzierżawili powiatowi nieruchomość za „Bóg zapłać", czyli 10 tys. zł plus VAT. Wszystko układało się do 2018 r., kiedy to przestała obowiązywać dotychczasowa umowa, a zakonnicy wydzierżawili zamek prywatnej fundacji, która ma inne plany wobec obiektu. Chce zarabiać na turystyce, a nie opiekować się półgłówkami.

Nowy dzierżawca postawił powiatowi zaporowe warunki. Będący pod ścianą samorządowcy zgodzili się płacić ponad 80 tys. zł miesięcznie czynszu plus VAT. Aby nie pójść z torbami, podjęli pospiesznie decyzję o likwidacji DPS.

Potrwa ona kilka miesięcy, najpóźniej do końca marca 2020 r. Jak się dowiedziałem w Starostwie Powiatowym w Kłodzku, podopieczni będą sukcesywnie (z zachowaniem procedur, czyli uzyskaniem zgody sądu na przeniesienie do innej placówki) rozlokowywani w przytuliskach na terenie całej Polski. Będzie to dla nich i ich rodzin wiązać się z ogromnym stresem i traumą, gdy z dnia na dzień zostaną wywiezieni w nieznane. Ale Kościół i tak jest miłosierny. Gdyby popierał eutanazję, niepełnosprawni zostaliby wysłani do Bozi.

ANDRZEJ SIKORSKI
nie@redakcja.nie.com.pl

Wieści z kruchty

✚ Warto pochylić się nad sylwetką nowego wiceministra sprawiedliwości Marcina Romanowskiego. To wierny, oddany i najbardziej zaufany pracownik Zbigniewa Ziobry. Romanowski jest numerariuszem Opus Dei, tajemniczej i kontrowersyjnej instytucji Kościoła katolickiego. W krajach, gdzie działa, przypisuje jej się ogromne wpływy w kręgach polityczno-biznesowych. Numerariusze, choć są osobami świeckimi i pracują zawodowo, żyją w celibacie i mieszkają w ośrodkach Opus Dei – oddzielnych dla kobiet i mężczyzn. Umartwiają się, nosząc na udach drucianą kolczatkę i biczując się. Numerariusze oddają swój majątek Opus Dei, a także przekazują tej organizacji zarobki. Przed awansem na wiceministra Romanowski prowadził Pracownię Liderów Prawa, gdzie za publiczne pieniądze i pod patronatem Ziobry wykuwano nowe kadry dla Ministerstwa Sprawiedliwości. To wszystko razem może wydawać się śmieszne, ale jest groźne.

✚ Ochrona dzieci i młodzieży była głównym tematem zebrania plenarnego Konferencji Episkopatu Polski. Na obrady przybył abp Charles Scicluna, arcybiskup Malty, sekretarz pomocniczy Kongregacji Nauki Wiary, zwany „Terminatorem Franciszka". Po wizycie Scicluny w Chile na podobnej imprezie tamtejszy episkopat podał się do dymisji. Polski episkopat ocalał, ale Scicluna oświadczył na konferencji prasowej: „Skierowałem mocne przesłanie do moich braci biskupów", co w języku Terminatorów oznacza „Jeszcze tu wrócę".

✚ Jakby na złość obradującym biskupom z episkopatu prokuratura w tym samym czasie kazała zatrzymać ks. Waldemara C., proboszcza parafii w Pawonkowie w powiecie lublinieckim. Ksiądz został zatrzymany pod zarzutem przestępstw o charakterze seksualnym, m.in. dopuszczania się tzw. innych czynności seksualnych wobec osoby małoletniej oraz prezentowania jej treści o charakterze pornograficznym. Po przesłuchaniu w prokuraturze w Lublińcu ksiądz został aresztowany, i to aż na 3 miesiące. Sekielski jest winny gehenny dzieciolubnych wśród kleru.

✚ „Do dymisji" podawana jest postać ks. Eugeniusza Makulskiego, budowniczego bazyliki w Licheniu i jednego z bohaterów filmu Tomasza Sekielskiego „Tylko nie mów nikomu". Usunięty został pomnik Jana Pawła II, na którym znajdowała się postać Makulskiego. Pomnik ma wrócić na miejsce za kilka miesięcy w wersji zmodyfikowanej – bez figury księdza pedofila. Tropione będą inne miejsca i obiekty, gdzie znajduje się wizerunek Makulskiego.

✚ Rok 2020 będzie rokiem św. Jana Pawła II – „wyzwoliciela narodu", „papieża rodziny", „obrońcy życia od poczęcia", „największego z rodu Słowian" – postanowił niemal jednogłośnie Sejm. Sejm nie uwzględnił faktu, że Jan Paweł II w 1983 r. złagodził kary dla księży molestujących dzieci. Co ciekawe, przepadł wcześniejszy konkurencyjny projekt PSL, aby rok 2020 ogłosić rokiem Karola Wojtyły. Z głosujących 421 posłów i posłanek zaledwie czworo wstrzymało się od głosu: Joanna Scheuring-Wielgus z partii Teraz!, Krzysztof Mieszkowski z Nowoczesnej oraz Krzysztof Brejza i Grzegorz Furgo z PO-KO. Ostatni dwaj podobno przez pomyłkę.

✚ XX Pielgrzymka Podwórkowych Kół Różańcowych Dzieci na Jasną Górę przebiegła bez zakłóceń, a to dzięki zaangażowaniu wiernych oraz służb porządkowych. W tym samym czasie przez Częstochowę paradowały również środowiska LGBT. Po enuncjacji abp. Wacława Depy, że II Marsz Równości jest celową prowokacją wymierzoną „w dzieci, w całą katolicką Polskę", wierni zmobilizowali się w ramach akcji „Męska obrona Jasnej Góry przeciw paradzie LGBT". Na trasie Marszu Równości ustawiały się kordony młodych facetów, które spychały „tęczowych" jak najdalej od Jasnej Góry. Była to pierwsza udana „obrona Częstochowy" od czasu szwedzkiego potopu.

Rys. TOMASZ WIATER

✚ Rada Powiatu Mieleckiego przyjęła stanowisko dotyczące ochrony przed ideologią LGBT. „Dla dobra życia, rodziny i wolności deklarujemy, że samorząd, który reprezentujemy – zgodnie z naszą wielowiekową kulturą życia społecznego – nie będzie ingerować w prywatną sferę życia Polaków i Polek. Nie damy narzucić sobie wyolbrzymianych problemów i sztucznych konfliktów, które niesie ze sobą ideologia LGBT". Oznacza to w praktyce zakaz edukacji seksualnej w szkołach i organizowania jakichkolwiek parad równości. O tyle to ciekawe, że w powiecie mieleckim nikt nigdy żadnej parady nie próbował organizować.

✚ Episkopat Polski zajmuje się nie tylko ochroną dzieci i młodzieży. Wezwał do ogólnopolskiej ekspiacji za popełniane w naszym kraju profanacje i świętokradztwa, takie jak w Nowym Targu. Ekspiacja ma polegać na odśpiewaniu we wszystkich kościołach „Święty Boże, święty, mocny…". Czy to coś pomoże?

KLECHA

Wieści na pożytek pasterzy i owieczek czerpiemy z prasy lokalnej.

eprasa.pl 5baaa01084

Kolbem i mieczem

Zakute łby marzą o powrocie do średniowiecza.

Ilustr. WŁODEK KIERUS

Polski katolicyzm to niewyczerpana kopalnia absurdów. Każdy, kto z nim walczy, musi mieć na względzie, że drugiego tak dobrego i pewnego źródła rozrywki mieć nie będzie. Eksponowana ostatnio w mediach grupa Wojowników Maryi jest wisienką na torcie pseudomilitarnej wiochy, w której lubują się katole. Dowodzeni przez ks. Dominika Chmielewskiego wojownicy nie są jednak

pionierami.

Jednym z prekursorów używania wojennej ornamentyki i retoryki w celach religijnych był św. Maksymilian Kolbe. Założył on w 1917 r. Rycerstwo Niepokalanej, któremu za cel postawił walkę z masonami i Żydami, głównymi – jak mu się wówczas wydawało – wrogami Kościoła (nie było jeszcze Unii Europejskiej, a geje praktykowali miłość pokątnie, zapewne także w zakładanych przez niego klasztorach). Biograf Maksymiliana (tak naprawdę Rajmunda) Kolbego, znany skądinąd red. Tomasz Terlikowski, twierdzi, że duży wpływy na wybór nazwy organizacji miała literatura. Sienkiewicz konkretnie. **„Widać w tym szczególnym dążeniu ślady zarówno lektury (przypomnijmy, że właśnie w roku 1905 pisarz otrzymał literacką Nagrodę Nobla), jak i pojmowania życia mężczyzny jako walki, rycerskiego poświęcenia się damie swojego serca i ofiarowanie jej tego, co najważniejsze. (…) »Umrzeć w boju – to jest dopiero naturalny stan, a tak to jakoś po dziadowsku« – mówił do braci franciszkanów w Niepokalanowie 30 stycznia 1938 r."** (Tomasz P. Terlikowski „Maksymilian M. Kolbe. Biografia świętego męczennika"). Jest to kolejny dowód na spustoszenia, jakich dokonał Sienkiewicz w umysłach Polaków, i na to także, że nie zawsze czytanie przynosi pożytek.

Romantyczną interpretację pobudek Kolbego trochę psują fakty. Franciszkanin założył bowiem nie Rycerstwo, lecz Milicję Niepokalanej (łac. *Militia Immaculatae)*. Z łaciny nazwa ta znaczy tyle, co **„służba wojskowa"**, od łacińskiego ***„miles"***, czyli **„żołnierz"**. Gdy nazwę tę zaanektowały później przebrzydłe komuchy, wojsko maryjne przyjęło nazwę dziś obowiązującą. Kolbe nie zachęcał jednak do noszenia śmiesznych strojów czy wymachiwania mieczem. Jedynym widocznym elementem uzbrojenia miał być tzw. Cudowny Medalik wykuty według urojeń (w slangu kościelnym: objawień) św. Katarzyny Labouré z 1890 r. Kolbe polecał wszystkim napotkanym wciskać te dewocjonalia, a szczególnie zatwardziałym grzesznikom podstępem wszywać w ubrania i modlić się o nawrócenie delikwenta. Bo to modlitwa właśnie miała być podstawowym orężem

milicjantów

Matki Bożej.

Przed wojną ze szczególną pasją dowódca rycerzy Niepokalanej walczył o parchate dusze żydowskie. W „Rycerzu Niepokalanej" – wydawanym do dziś organie prasowym rycerstwa – pisał Kolbe np. tak: **„Gdy ktoś z nas napotka żyda, niechaj westchnie o jego nawrócenie do Niepokalanej, chociażby tylko myślą, np. »Jezus, Maryja«, a gdy zdarzy się napotkać rabina, który ma większą odpowiedzialność, bo za siebie i za tych, których prowadzi, rachunek przed Bogiem zdać musi, wypada więcej modlitwy ofiarować, chociażby »Zdrowaś Maryjo«"** (1926 r.). Do dziś jego duchowi spadkobiercy na widok Żyda potrafią nie tylko pomyśleć, ale i zakrzyknąć: **„Jezus, Maria!"**.

Franciszkanin uważał, że drugie po Żydach największe zagrożenie – masoneria – to również żydowska sprawka. Wolnomularstwo jego zdaniem to **„nic innego jak zorganizowana klika fanatycznych żydów, dążących nieopatrznie do zniszczenia Kościoła katolickiego"**. Kilkanaście lat później stracił życie w obozie koncentracyjnym zorganizowanym przez tych, którzy nie poprzestali na duchowym rozwiązywaniu kwestii żydowskiej. Biograf i apologeta mnicha Terlikowski uważa jednak, że Kolbe nie był antysemitą, bo nie chciał Żydów tępić, ale ich nawracać. Kochał starozakonnych po swojemu, mimo że uwierzył w „Protokoły Mędrców Syjonu". **„Niestety, nie ma wątpliwości, że we wszystkie te bujdy zawarte w sfabrykowanym, antysemickim pamflecie Maksymilian wierzył. Fragmenty z »Protokołów…« pojawiały się w licznych jego tekstach, a przedstawiane w nich argumenty leżały u podstaw wielu jego rozumowań politycznych"** – pisze Terlikowski we wzmiankowanej biografii. Dowodem dobrych chęci Kolbego ma być jednak fakt, że planował wydawać „Rycerza Niepokalanej" w jidysz. Że też naziści nie wpadli na taki pomysł ze „Stürmerem"! Częściej zdarzałoby się jak w dowcipie:

Do Goldberga czytającego na ulicy „Der Stürmer" podchodzi Silberstein i mówi z niesmakiem: – Izaak! Jak ty możesz czytać ten szmatławiec?!

Na co Golberg: – Bo jak czytam nasze czasopisma, to tylko: tu pogrom, tam antysemityzm, ówdzie zbezcześcili synagogę… A jak czytam to, to od razu: Żydzi opanowali banki! Żydzi rządzą na rynku budowlanym! Żydzi rządzą światem! Aż przyjemnie się to czyta!

Niemal

100 lat

później w założonym przez Kolbego Niepokalanowie ślubują Wojownicy Maryi. Przewodzi im salezjanin Dominik Chmielewski, dawniej mistrz wschodnich sztuk walki, dziś ksiądz. Czyli spowiadać umie, ale gdy trzeba, to i przypierdolić potrafi. Z perspektywy czasu ks. Dominik uznaje dawną pasję za demoniczne zwiedzenie, a stracony na romans z Szatanem czas pragnie nadrobić, organizując wojsko maryjne. Idzie dalej niż Kolbe – rycerskość traktuje bardziej literalnie. **„Wojownicy Maryi to Maryjna wspólnota męska, która zawiązała się podczas odbywających się cyklicznie otwartych spotkań formacyjnych dla mężczyzn, odbywających się w Lądzie"** – czytamy na oficjalnej stronie internetowej wojowników. Nazwa miejscowości jest myląca, bo działalność grupy świadczy o oderwaniu od ziemi.

Członków armii ks. Dominik pasuje na rycerzy mieczem podczas specjalnej uroczystości. **„Przyrzekam być wiernym Jezusowi, aż do oddania całego swojego życia jemu jako mojemu panu i Zbawicielowi przez ręce Maryi jako pierwszej damie mojego serca. Przyrzekam walczyć ze swoim grzechem i z głównymi moimi wadami i stawać się nieustraszonym w walce z szatanem i wrogami zbawienia"** – ślubują bojówkarze Najświętszej Panienki.

Od tego momentu wojownicy również zyskują prawo do posługiwania się bronią białą, na razie w celach reprezentacyjnych. **„Być Wojownikiem Maryi to znaczy walczyć pod sztandarem Niepokalanej z szatanem, grzechem i swoimi słabościami na wszystkich polach swojego życia"** – tłumaczył tygodnikowi katolickiemu „Niedziela" Piotr Hubert Kowalski, lider warszawskiego regionu Wojownicy Maryi. Uzbrojeni w miecz chłopcy są w stanie dosłownie realizować nakaz Jezusa: **„Jeżeli twoja ręka jest dla ciebie powodem grzechu, odetnij ją; lepiej jest dla ciebie ułomnym wejść do życia wiecznego, niż z dwiema rękami pójść do piekła w ogień nieugaszony. I jeśli twoja noga jest dla ciebie powodem grzechu, odetnij ją; lepiej jest dla ciebie chromym wejść do życia, niż z dwiema nogami być wrzuconym do piekła"**. Wydaje się jednak, że nie sami sobie są celem. Prędzej upierdolą rękę napotkanemu grzesznikowi. I choć dziś inni Szatani są czynni niż w latach 20. poprzedniego wieku, dał im przykład Maksymilian, że wroga mieć trzeba.

Wojownicy Maryi i Rycerze Niepokalanej to niejedyne kościelne formacje zbrojne.

Na peryferiach

działają Rycerze Chrystusa Króla pod przewodem ks. Piotra Natanka. Znany z niepospolitych kazań duchowny wprawdzie nadal obłożony jest karami kościelnymi i działa na własną rękę, ale odwołuje się do opisywanej wyżej rdzennie katolickiej tradycji. W swojej rodzinnej miejscowości Grzechynia (Małopolska) założył pustelnię „Niepokalanów" (znowu wszystko się zgadza) i skupił wokół siebie towarzystwo upatrujące wszędzie wpływów diabelskich. Remedium na bolączki ojczyzny ma być intronizacja Jezusa na króla Polski. Ideę tę propagują odziani w czerwone płaszcze rycerze Żyda z Nazaretu, którego wizerunek na tym płaszczu widnieje. Czerwoni rycerze widywani są od czasu do czasu na oficjalnych uroczystościach kościelnych. Sprawny organizator Natanek wozi wojaków po Polsce i świecie, głównie po sanktuariach i kościołach. Wzbudzają tam zdziwienie wśród normalniejszych wiernych oraz niedowierzanie pomieszane ze śmiechem wśród turystów. Rycerzy Chrystusa jest na całym świecie – jeśli wierzyć ich własnym zapewnieniom – ponad 3 tysiące. Pasowanych na Wojowników Maryi zostało dotychczas zaledwie 120 chłopa. Z prostego rachunku wychodziłoby, że kibole Chrystusa spuściliby adoratorom Maryi srogi łomot. Musimy jednak wziąć pod uwagę, że armię ks. Chmielewskiego zasilają dorodni chłopcy i mężczyźni w sile wieku, zaś wojsko Natanka to głównie starsze panie. Przekonać się, kto silniejszy, można tylko organizując galę MMA.

Stawkę

zamykają rycerze Jana Pawła II. Wojtyła to postać ważniejsza w Polsce od Jezusa i Maryi razem wziętych – nie dziwi więc, że ma armię. Podobnie jak Wojownicy Maryi, Zakon Rycerzy Jana Pawła II zrzesza tylko mężczyzn – równościowy postulat realizuje jedynie ks. Natanek, dopuszczając pod płaszczyk każdego bez względu na płeć.

Bojówka Wojtyły nosi się na czarno. Ich znakiem rozpoznawczym jest płaszcz w kolorze sutanny z wyszytym herbem zakonu, czyli herbem papieskim Wojtyły, z tym że elementy niebieskie oczerniono.

Zakon sformował się w 2011 r., a jego regułę zatwierdził abepe Henryk Hoser. Co ciekawe, rycerze papieża powstali w wyniku rozłamu w łonie Zakonu Rycerzy Kolumba – organizacji charytatywnej o amerykańskiej proweniencji. Rozłam dokonał się na linii zwykłego dla Polski podziału: PiS–PO. Pisowscy członkowie odeszli i założyli własny zakon. Bo co to zresztą za patron: Kolumb? Czego on niby dokonał? Rycerze J.P.2 widywani są na Rydzykowych imprezach oraz w wielu katedrach w Polsce. Spośród wyżej opisanych dysponują nie dość, że najpotężniejszym patronem, to także największymi wpływami. Członkami są ludzie związani z PiS. Generałem zakonu jest Krzysztof Wąsowski – prawnik, przedstawiciel strony kościelnej w pracach Komisji Majątkowej, członek Ordo Iuris. Pozostali rycerze nie mają co do wojtyłowców fikać, bo nawet jeśli wygrają w bezpośrednim starciu, to przegrają w sądzie.

ŁUKASZ PIOTROWICZ
lupiotrowicz@gmail.com

Niski Jezus z Wysokiego

Koalicja Europejska rusza w teren. Przed jesiennymi wyborami chce odzyskać powiatowo-gminny elektorat, który przejęło Prawo i Sprawiedliwość. Zajrzyjcie do Wysokiego Mazowieckiego, cwaniacy!

24 czerwca rada miasta w Wysokiem Mazowieckiem (województwo podlaskie, 9,5 tysiąca mieszkańców, burmistrz Jarosław Siekierko z PiS) ma podjąć uchwałę w sprawie budowy pomnika Chrystusa Króla. Inicjatorem wiekopomnego dzieła jest „Wspólnota dla Intronizacji Najświętszego Serca Pana Jezusa" z księdzem dziekanem Ryszardem Niwińskim na czele, proboszczem parafii pw. św. Jana Chrzciciela, a i sam włodarz mieściny razem z radnymi jest tego entuzjastycznym orędownikiem.

W projekcie uchwały można przeczytać, iż **„inwestycja polega na budowie piedestału pomnika Najświętszego Serca Pana Jezusa wraz z eliptycznym placem pomnikowym i najbliższym otoczeniem. Piedestałem pomnika będzie 13,5-tonowy głaz narzutowy posadowiony na żelbetowym fundamencie. Na piedestale zostanie zamocowana metalowa rzeźba z przedstawieniem Pana Jezusa o wysokości 2,2 m. Wysokość pomnika wraz z figurą wyniesie 3,5 m. Wokół pomnika projektuje się wykonanie reprezentacyjnego placu w kształcie elipsy. Na utwardzonym placu zostanie posadowionych 12 sześcianów granitowych pełniących funkcje siedziska oraz monolitu z inskrypcją nawiązującą do orędzi Najświętszego Serca Pana Jezusa. W ramach inwestycji zostaną wytyczone nowe chodniki oraz niewielki nasyp ziemny obsiany łąką kwiatową z nasadzeniami krzewów"**.

Dalej czytamy, że ponad 2-metrowy Jezus ma przypominać tego z Rio de Janeiro, a kasa na projekt inwestycji jest już od dawna zabezpieczona w budżecie Wysokiego Mazowieckiego na rok 2019.

Ale najlepsze znaleźliśmy w uzasadnieniu uchwały. To dowód na to, że wycieczka w głębokie średniowiecze jest możliwa nawet bez użycia wehikułu czasu: **„Widzimy obecnie w świecie i w Polsce rozwijające się zjawisko prześladowań ludzi wierzących, podważania autorytetu Kościoła i jednocześnie zaszczepianie w społeczeństwie haseł bezbożnych i niemoralnych"** – piszą radni niczym sami biskupi w liście pasterskim. **„22 października 2013 r. w parafii pw. św. Jana Chrzciciela w Wysokiem Mazowieckiem odbyła się intronizacja w wymiarze społecznym, czyli przyjęcie Aktu Poświęcenia Miasta Wysokie Mazowieckie Jezusowi Chrystusowi Królowi. Dokonały tego władze miasta, powiatu oraz gminy, a także poszczególne grupy społeczno-zawodowe i religijne. Po przyjęciu intronizacji wielu mieszkańców miasta zauważyło, iż wszelkie kataklizmy, które dzieją się w Polsce, a także na Podlasiu, omijają nasze piękne miasto"**.

WJK

eprasa.pl 5baaa01084

Ksiądz i żebrak

Bezdomny łatwiej przejdzie przez igielne ucho niż wielbłąd i pederasta.

„Jebany pedale” – usłyszał kapłan i natychmiast przyszło mu do głowy, że nurt deprawatorski postanowił uczynić go ofiarą kolejnego bluźnierczego ataku. Lecz zbłądził – bolesne słowa wypowiedział osobnik heteroseksualny i zasadniczo wolny od dewiacji.

• • •

Kościół św. Ducha w Toruniu, zwany akademickim, położony jest nieopodal Rynku Staromiejskiego. Z racji sąsiedztwa licznych zabytków zawiadywaną przez jezuitów świątynię dzień w dzień mijają rzesze zwiedzających miasto turystów. Efekt: przybytek stał się mekką żebraków miejscowych i przyjezdnych. Rektor kościoła nie tak wyobrażał sobie magiczną moc ewangelii, lecz wiedziony zawodową litością intruzów przepędzał nieśmiało i z mizernym skutkiem. Przy okazji dając dowód heroiczności cnót, albowiem błagający o datki kloszardzi zajmują to samo miejsce w łańcuchu pokarmowym, co kapłani i stanowią dla nich naturalną, ale i niemiłą konkurencję. Wielebny zaczął tracić cierpliwość, gdy w okolicy świątyni żebraczy posterunek zainstalował Jarosław W.

• • •

Pan Jarek – jak nazwali go kompani – szybko stał się przywódcą przykościelnego żebractwa, a pod jego przewodem przykościelne żebractwo zaczęło się zachowywać niestosownie, paląc na progu świątyni papierosy, pijąc alkohol oraz używając słów, które kapłanowi przez gardło nie przejdą, wyjąwszy „kurwę”, łacińskiej przecież proweniencji. Na dodatek

król żebraków, gdy zachodził pod kościół, posługiwał się kulami, dając do zrozumienia, że jego stan jest ciężki i niestabilny, natomiast gdy ruszał spod kościoła w celu zażycia odpoczynku, kule pakował do worka i przestrzeń przemierzał krokiem raźnym,

co podważało zaufanie publiczności do wszystkich proszalników.

Ksiądz rektor interweniował częściej i z większym zapałem, bo profanacja profanacją, ale nihilistyczna i amoralna postawa żebraków odstraszała wiernych, czyli psuła jezuitom interes. Po interwencji dziady – na komendę Jarosława W. – zwykle wynosiły się, ale za kwadrans wracały, siejąc jeszcze większe zgorszenie, rektor znów wygłaszał płomienne kazanie – i tak w kółko. Zabawa w kotka i myszkę trwała rok, lecz naród polski słynie z przywiązania i szacunku do przedstawicieli stanu kapłańskiego i grube słowo pod adresem pasterza nie padło, a o mordobiciu mowy nie było.

• • •

Gdy wielebny podczas jednej z interwencji usłyszał: **„Ty paskudna ciota”,** uznał, że się przesłyszał. Gdy do wyświęconych uszu dotarła fraza: **„Spierdalaj, jebany pedale”,** przyszło mu do głowy, że nurt deprawatorski postanowił uczynić go ofiarą kolejnego bluźnierczego ataku. Lecz zbłądził – **„jebany pedał”**, połączony z nakazem oddalenia się z miejsca wydarzeń, wyszedł z ust Jarosława W. To, że bolesne słowa wypowiedział nie dewiant, lecz heteroseksualny żebrak, łatwiej wszak przechodzący przez ucho igielne niż wielbłąd z pedałem wziętym do kupy, stało się w pełni jasne, pan Jarek podszedł bowiem do zakonnika i zapytał: **„Słyszałeś, kurwa?”.** Nie doczekawszy się odpowiedzi, złożył księdzu kuszącą propozycję. **„Chodź poza monitoring, to ci najebię”** – brzmiała. Ksiądz nie dał się skusić i zważywszy na liczne teologiczne konotacje obejmujące żebraków, zniewagę wybaczył. Pochopnie.

• • •

Jarosław W., choć w istocie nie jest dewiantem, bez pamięci wykorzystującym ministrantów i mimo wzmożonego popędu do spirytualiów orientację wykazuje zgodną z prawem naturalnym, poczuł wiatr w żaglach. Odtąd księdza rektora lżył na każdym kroku, najczęściej nazywając go **„chujem w sukience”.** Groził mu też połamaniem kończyn, a także pozbawieniem życia, co jest kolejnym dowodem na prawdziwość stwierdzenia, że jak się da palec, to daje się rękę. Kapłan postanowił odciąć rękę podniesioną na Kościół, zanim żebrak odetnie mu nogę. Powiadomił policję.

Śledczy zbadali stan trzeźwości Jarosława W. i po wykryciu 2,5 promila postanowili dać mu czas na medytację na dołku. Do przesłuchania przystąpili po dwudziestu godzinach, lecz niewiele ono wniosło, bo pan Jarosław, poza tym, że konsekwentnie twierdził, iż jest niewinny, milczał zawzięcie. Strategia ta nie przyniosła oszałamiających rezultatów – Prokuratura Rejonowa Toruń Centrum uznała, że dysponuje wystarczającym materiałem dowodowym i oskarżyła go, iż **„wielokrotnie kierował groźby karane wobec księdza Zbigniewa L., działając w ten sposób, że po zwróceniu mu uwagi dotyczącej żebrania na terenie kościoła i skierowania prośby o opuszczenie świątyni, używał wobec pokrzywdzonego słów powszechnie uznanych za wulgarne i groził pozbawieniem życia, przy czym groźby te wzbudziły w pokrzywdzonym uzasadnioną obawę, że będą spełnione”.**

• • •

Sąd Rejonowy w Toruniu skazał Jarosława W. na 10 miesięcy prac społecznie użytecznych oraz zakazał mu zbliżania się do księdza rektora na odległość mniejszą niż 50 m, co stanowi światełko w tunelu, bo pan Jarosław w majestacie prawa może uczestniczyć w nabożeństwach w swej ulubionej świątyni, jeśli tylko Zbigniew L. nie będzie celebransem.

„Jarosław W. jest osobą bezdomną, przesiadywał na schodach kościoła i żebrał o pieniądze, palił papierosy i spożywał alkohol. Pokrzywdzony wskazał, że bardzo bał się, jak oskarżony wypowiadał groźby pozbawienia go życia, patrząc mu z bliskiej odległości w oczy. Ponadto oskarżony był osobą nadużywającą alkoholu, wulgarną, co potęgowało poczucie strachu u księdza. Jarosław W. jest osobą zdemoralizowaną, o czym m.in. świadczy fakt, że czasami chodził, używając kul, czasami bez. Osadzenie oskarżonego w warunkach zakładu karnego naraziłoby społeczeństwo na wysokie koszty jego utrzymania, grożąc zarazem jego dalszą demoralizacją. Dlatego kara ograniczenia wolności jest zasadna” – czytamy w uzasadnieniu wyroku.

Nie da się ukryć – sąd rękę podniesioną na Kościół odrąbał. Stało się tak, mimo że biegli psychiatrzy doszli do wniosku, iż Jarosław W. co prawda nie choruje psychicznie ani nie jest upośledzony umysłowo, ale za to cierpi na organiczne zaburzenia osobowości i **„w czasie popełnienia zarzucanego czynu miał ograniczoną w stopniu znacznym zdolność rozpoznania jego znaczenia i pokierowania swoim postępowaniem”.**

MACIEJ MIKOŁAJCZYK
mikolajczyk@redakcja.nie.com.pl

Rys. TOMASZ WIATER

REBUS 1

1. Atmosfera w Watykanie jest tak znakomita, że papież Franciszek musiał wydać specjalny okólnik ,w którym poucza nuncjuszy, żeby nie obrabiali mu dupy za plecami. „Funkcja papieskiego reprezentanta jest nie do pogodzenia z krytykowaniem papieża za jego plecami, prowadzeniem bloga czy wręcz przystępowaniem do wrogich mu grup” – wyjaśnia papież swoim ambasadorom, zaznaczając przy okazji, że nuncjusze powinni zachowywać czystość, nie plotkować, nie obmawiać i nie dawać się korumpować. To uwagi bardzo na czasie: nuncjusz we Francji, dawniej w Kanadzie, abp Luigi Ventura jest oskarżony o molestowanie młodych mężczyzn na dwóch kontynentach, nuncjusz w Szwajcarii abp Thomas Gullickson prowadził blog, w którym mniej więcej wprost nazywa papieża idiotą, a nuncjusz w Kazachstanie, dawniej przy ONZ, abp Francis Chullikatt znany jest z tego, że nocą wysyłał erotyczne SMS-y do dziewicy konsekrowanej, z którą miał romans. Ponieważ robił to po pijaku, SMS-y trafiały do księży, zakonnic i świeckich pracowników nuncjatury.

2. Amerykanie cierpią na podwójną moralność – ocenia Catholic News Agency, katolska agencja informacyjna należąca do koncernu EWTN, czyli Telewizji Wiekuistego Słowa. Założona w 1981 r. przez matkę Angelicę z zakonu Klarysek od Wieczystej Adoracji telewizja to taka globalna odmiana imperium Rydzyka – z podobnymi poglądami. Głosicieli wiekuistego słowa oburza to, iż – choć po czterech dekadach konserwatywnej ofensywy propagandowej – już tylko 42 procent Amerykanów uważa aborcję za moralnie dopuszczalną (przeciwnego zdania jest już równo połowa), aż 92 procent akceptuje „używanie sztucznych metod antykoncepcji”. To najwyższy odsetek akceptacji ze wszystkich badanych w sondażu kwestii – burzy się CNA, choć z radością dodaje, że prawie 90 procent Amerykanów nie akceptuje romansu żonatych i zamężnych.

3. Kościół katolicki w USA w latach 2011–2018 wydał ponad 10 mln dolarów na lobbystów, których zadaniem była walka z inicjatywami ustawodawczymi pozwalającymi ofiarom księżych swawoli na pozywanie diecezji mimo przedawnienia. Wiemy to dzięki ustawie o dostępie do informacji publicznej – która w USA traktowana jest tak poważnie, że obejmuje także Kościół. Połowę z 10 mln dolków wydała na pedofilochronny lobbing diecezja z Pensylwanii, gdzie 2-letnie śledztwo ujawniło 301 zboczeńców w sutannach i ponad 1000 ofiar. Komentując fakt, iż diecezja hajs pozyskany z ofiar wydaje na walkę z ofiarami, rzecznik pensylwańskich katolobbystów Al Gnoza odrzekł: „Przez ponad pół wieku Konferencja Katolicka w Pensylwanii lobbowała na rzecz niezliczonych kwestii, które są ważne dla ludzi wiary katolickiej”. Cóż może być ważniejszego dla wiernych niż bezkarność zboków w sutannach?

4. W tym sezonie kandydatami na stos są twórcy bajki dla dzieci „My Little Pony” – opowiadającej o kolorowych kucykach i szczęśliwym jednorożcu. Ostatnio w kreskówkowym serialu pojawiła się para bohaterek, ciocia Holiday i ciocia Lofty, które są – o zgrozo – w związku. Ciocie są postaciami marginalnymi, nikt nie promuje ich seksualnych wyborów, twórcy serialu zaledwie odnotowali fakt, że istnieją w Esquerii (i na świecie) pary homoseksualne. „Kolejne firmy dołączają do wojny przeciwko dzieciom i starają się je zniszczyć, wciągając je w odmęty deprawacji” – ogłosił słynny amerykański bigot Ken Ham, twarz „teorii młodej Ziemi”, która stanowi, że świat został stworzony w swoim obecnym kształcie w ciągu sześciu 24-godzinnych dni 6 tys. lat temu, dinozaury wyginęły w potopie, a zanim do tego doszło, pokojowo koegzystowały na ziemi z ludźmi. Ken jest twórcą Muzeum Stworzenia w Kentucky, gdzie można obejrzeć rekonstrukcję tej egzystencji.

5. W sprawie wytoczonej Ministerstwu Zdrowia Kenii przez matkę zgwałconej 15-latki, która zmarła w wyniku komplikacji po pokątnej aborcji, kenijski Sąd Najwyższy orzekł, że nieletnie ofiary gwałtu mają prawo do legalnego przerwania ciąży. Zobowiązał też rząd do przywrócenia rozporządzenia regulującego zasady zabiegów, które w Kenii są dopuszczalne dla ratowania życia lub zdrowia kobiety. W 2013 r. rząd unieważnił to rozporządzenie i zakazał personelowi medycznemu przechodzenia szkoleń w zakresie legalnej aborcji – co skądinąd wiązało się z restrykcjami, jakie ogłosił amerykański fundusz pomocy USAID, który skreślił z listy beneficjentów wszelkie organizacje walczące o legalność aborcji i przeprowadzające zabiegi. W Kenii pokątnym aborcjom przeprowadzanym bez zachowania podstawowych zasad higieny poddaje się pół miliona kobiet rocznie. 120 tysięcy z nich trafia do szpitali z powikłaniami. 7 kobiet dziennie umiera – ocenia organizacja na rzecz praw reprodukcyjnych Marie Stopes. Dr Wahome Ngari z Kenijskiego Forum Chrześcijańskich Profesjonalistów, biorący udział w procesie po stronie rządu, zeznał, że problem jest „szalenie nadmuchany”.

6. Ks. Kevin M. Cusick, emerytowany kapelan amerykańskiej marynarki, wywołał twitterową burzę komentarzem o tym, jak jeden z jego znajomych księży „był zmuszony” polecić jednej kobiecie na niedzielnej mszy, żeby zakryła ramiona. „Proszę, pomóżcie księdzu chronić czystość mężczyzn poprzez skromny ubiór” – zaapelował komandor podporucznik Cusick do katoliczek, co wzbudziło dość zrozumiałe komentarze w stylu: „Uwielbiam, gdy faceci nie potrafią kontrolować swojego ciała, wobec czego chcą kontrolować ciało kobiety”. Ksiądz kapelan się oburzył, co wyraził z iście starotestamentowym ogniem: „Twitter ma mroczną, demoniczną stronę, nienawidzącą Boga i Kościoła. To plemię żmijowe, ujadająca, żądna krwi horda rzuciła się na mnie w zeszłym tygodniu. Fala po fali zalewały mnie oszczercze, bluźniercze i nieprzyzwoite memy, gify i posty”…

7. Craig Northcott, prokurator okręgowy z Coffee County w stanie Tennessee, ogłosił, iż z zasady nie ściga przemocy domowej w małżeństwach gejowskich, albowiem – wbrew niedawnemu wyrokowi Sądu Najwyższego USA – nie są to prawdziwe małżeństwa. Przemawiając na konferencji, organizowanej przez pastora Roberta Deana Jr. z Kościoła biblijnego Zachodniego Houston, prokurator wyjaśnił, że przemoc domowa jest w amerykańskim prawie traktowana szczególnie surowo – np. osoba skazana na nią jest dożywotnio pozbawiona prawa do posiadania broni. Ale – wyjaśnił prokurator Northcott – „przepisy te mają chronić świętość małżeństwa. A ja mówię: tu nie ma małżeństwa do chronienia. Więc nie oskarżam takich napastników z paragrafu o przemocy domowej”.

eprasa.pl 5baaa01084

Jak rozmnożyć Polaków...

...nie używając organów płciowych.

„Badania wskazują, że do 2025 r. możemy potrzebować do 2,5 milionów pracowników. Lukę na rynku pracy, spowodowaną m.in. obniżeniem wieku emerytalnego, działaniami zniechęcającymi do podejmowania pracy przez część społeczeństwa oraz zmianami demograficznymi, mogą uzupełnić tylko pracownicy z zagranicy. Bez napływu pracowników z Ukrainy w ostatnich kilku latach PKB Polski byłby o ok. 10 proc. niższy niż jest obecnie, z niesłychanie negatywnymi skutkami dla stanu i stabilności finansów państwa" – alarmuje Business Center Club, przypominając przedstawione rządowi 2 lata temu rekomendacje dotyczące ułatwienia legalizacji pracy i pobytu cudzoziemców w Polsce.

„Zarówno Czesi, jak i Niemcy wdrożyli u siebie nowe przepisy, które mają zapewnić przedsiębiorcom działającym w tych krajach ułatwienia w sprawdzaniu pracowników z zagranicy. Premierze Morawiecki, jeśli rząd pilnie nie zmieni procedur legalnego zatrudnienia pracowników z zagranicy, przegramy wyścig o tanie ręce do pracy ze Wschodu i Ukraińcy z Polski wyjadą!" – woła Konfederacja Lewiatan, lecz premier Morawicki milczy jak grób, PiS bowiem słucha zwykłych Polaków, a nie wysysających z nich krew kapitalistów.

A gdy w zeszłym roku rząd nieco zliberalizował przepisy dotyczące wykonywania przez obcokrajowców prac krótkotrwałych, reprezentująca zwykłych Polaków Komisja Krajowa NSZZ „Solidarność" ogłosiła, że taka **„polityka społeczna rządu może nie sprzyjać ochronie miejsc pracy dla polskich obywateli"**. I **„w celu uniknięcia dumpingu socjalnego, któremu w sposób szczególny sprzyja wypieranie z rynku pracy rodzimych pracowników"** zażądała, aby **„Państwowa Inspekcja Pracy intensywniej monitorowała warunki pracy i płacy, w jakich zatrudniani są cudzoziemcy"**.

Kłopot: bez rodaków prezydenta Zełenskiego grozi nam katastrofa.

Czysta paranoja. W zeszłym roku po raz pierwszy od 2006 r. spadła liczba oświadczeń o powierzeniu wykonywania pracy Ukraińcom. Oświadczenia takie płodzą pracodawcy, co pozwala legalnie zatrudniać wschodnich sąsiadów. Spadek jest zrozumiały – załatwianie formalności trwa nawet 1,5 roku i zanim procedura dobiegnie końca, goście muszą pakować manatki i wracać do domu, bo w ramach emigracji zarobkowej na terenie Najjaśniejszej mogą przebywać maksymalnie pół roku. To paranoja w czystym wydaniu, a rezultat jest taki, że brakuje pracowników nie tylko sezonowych, ale także produkcyjnych i w budownictwie.

A to tylko małe miki, bo Polska na gwałt potrzebuje nie tylko roboli wpadających na kilkumiesięczne saksy, ale nade wszystko nowych Polaków.

Płachta na byki. Piastowy szczep szybko się starzeje i już w roku 2040 liczba emerytów będzie większa niż liczba pracujących. Innymi słowy na dane Polakom przez Kaczyńskiego wcześniejsze emerytury nie będzie miał kto pracować.

Ukraińców jest w RP około dwóch milionów; gdyby co drugi zamieszkał u nas na stałe i przyjął polskie obywatelstwo, naród wybrany powiększyłby swą liczebność o milion.

Dzietność Ukrainek nie jest zachwycająca i wynosi 1,47 *per* wagina, czyli ledwie o kłak przewyższa dzietność Polek, z tym zastrzeżeniem, że mających centrum życiowe w ojczyźnie, bo polskie niewiasty bytujące w Wielkiej Brytanii pokazały, że przy rzeczywistych podnietach mnożą się na potęgę, osiągając dwukrotnie wyższy wskaźnik niż koleżanki znad Wisły. Program „500 plus" na Ukraińców niechybnie zadziała tak, jak na Polaków brytyjskie benefity, bo czym dla nas jest funt, tym dla nich złotówka.

Teraz ze sztandarowego projektu PiS korzystają raptem 3 tysiące ukraińskich rodzin, bomba demograficzna nie miała więc prawa wybuchnąć, lecz gdy uprawnionych będzie milion, możemy doczekać się upragnionego i zbawczego *baby boomu*. Żeby to było możliwe, musimy jednak ułatwić Ukraińcom, a zwłaszcza spłodzonym przez nich zstępnym, dostęp do polskiego obywatelstwa.

Garstka desperatów. W myśl obowiązujących dziś przepisów obywatelstwo polskie uzyskują dzieci urodzone w Polsce, pod warunkiem że co najmniej jedno z rodziców ma nasze obywatelstwo. To Ukraińców do rozmnażania się z pewnością nie zachęca. Rozwiązaniem byłoby uzyskanie obywatelstwa przez kandydata na mamę lub tatę. Teoretycznie jest taka możliwość, bo cudzoziemcowi może je nadać prezydent albo może on zostać uznany za obywatela RP w przypadku długiego i nieprzerwanego pobytu, ale w praktyce idzie to jak po grudzie. W zeszłym roku polskie paszporty dostało ledwie 5 tysięcy obcokrajowców, z czego 3 tysiące to Ukraińcy; taka garstka desperatów z pewnością narodu wybranego przed śmiercią nie uratuje. (Niemcy w tym samym czasie przyznali obywatelstwo ponad 150 tysiącom emigrantów). Na razie kandydatów na Polaków wśród Ukraińców nie ma zbyt wielu, bo PiS nie prowadzi jakiejkolwiek polityki integracyjnej. Nie ma kursów języka polskiego, punktów konsultacyjnych, szkoleń z zakresu obowiązujących w Polsce przepisów; słowem – polski pan traktuje Ukraińców tak, jak na to zasłużyli, czyli jak Murzynów ze Wschodu.

Na dodatek partia Kaczyńskiego po dojściu do władzy wprowadziła zasadę, że aby otrzymać polskie obywatelstwo, przybysze zza Sanu – i wszyscy cudzoziemcy – muszą legitymować się znajomością języka polskiego. Stosowne certyfikaty wydaje Państwowa Komisja Poświadczania Znajomości Języka Polskiego Jako Obcego, ale żeby certyfikat otrzymać, trzeba zapłacić 150 euro i zdać egzamin. Zdaje połowa, największym utrapieniem dla Ukraińców jest część pisemna, jako naród dziki od dziecka bowiem uczą się pisać cyrylicą.

Układ sił. Innego podejścia do obcych trudno po kaczystach się spodziewać. Z dwóch powodów. Zachęcanie Ukraińców do osiedlania się mogłoby pozbawić PiS władzy.

Po pierwsze – wzburzyłoby wyznający zasadę Polska dla Polaków pisuarowy elektorat.

Po drugie – przyznanie obywatelstwa milionowi Ukraińców niechybnie zmieniłoby układ sił na scenie politycznej, bo większość ukraińskich nacjonalistów z polskimi dowodami z pewnością nie chciałaby głosować na nacjonalistów z PiS-u. A wybory do Parlamentu Europejskiego kaczory wygrały różnicą miliona głosów właśnie.

MACIEJ MIKOŁAJCZYK
mikolajczyk@redakcja.nie.com.pl

Jeszcze Polki nie zginęły

Nowe zjawiska, które odmieniają świat: patocelebryci.

Przerażające nagranie obiega internet. Zapuchnięta, spłakana kobieta pokazuje liczne siniaki i otarcia i opowiada o tym, że została pobita. Boi się iść na policję, bo to **„nie są ludzie, z którymi warto zadzierać"**. Internauci szaleją na punkcie nagrania. Dlaczego? Bo między siniakami, napuchniętymi ustami, odpadającymi sztucznymi rzęsami i skołtunionymi sztucznymi włosami widzą znaną z sieci Esmeraldę Godlewską.

Popularność Godlewska zyskała w okolicach świąt Bożego Narodzenia, gdy wraz z siostrą nagrała kilka przeróbek polskich kolęd i szlagierów. Ofiary operacji plastycznych, zawodzące nad sztucznymi biustami, najwyraźniej były tym, czego polski internet potrzebował na Gwiazdkę, bo nagrania z siostrami osiągnęły po kilka milionów odtworzeń na YouTubie. To, co na początku było niegroźnym internetowym viralem, niczym kula śniegowa urosło do rangi zjawiska w polskim internecie. Siostry zaczęły nagrywać własne piosenki (z wyuzdanymi teledyskami), wkrótce potem koncertować i zarabiać „pojawianiem się" na różnych imprezach. Z czasem dostały nawet coś w rodzaju własnego programu – jedna ze stacji pozwoliła im półnago przepowiadać pogodę.

Jak to zwykle bywa, historia szybkiej sławy ma tragiczny finał. Esmeralda, która w rzeczywistości nosi nieco bardziej prozaiczne imię Monika, podobno nadużywała substancji psychoaktywnych, aż spektakularnie pod ich wpływem wjechała w ścianę przy Ząbkowskiej w Warszawie. Później próbowała jakoś z tego wybrnąć, twierdząc, że ma depresję…

Po wypadku dostała propozycję walki w Fame MMA z inną patocelebrytką Martą Linkiewicz. Padła po kilku sekundach.

Ostatnio wróciła na łamy plotkarskich portali, bo opublikowała przedziwne i dość tragiczne w wydźwięku nagranie po rzekomym pobiciu. Internauci oczywiście mają mnóstwo teorii – przewróciła się pijana, sama sobie winna, udaje dla sławy… Prawda pewnie nigdy nie wyjdzie na jaw, bo sama zainteresowana już skasowała wideo z sieci i zdementowała własne słowa.

Jej „pogromczyni" z oktagonu ma niemal równie barwną historię w polskich mediach. Zasłynęła nagraniem w social mediach zamieszczonym pod koniec 2015 r., na którym relacjonuje swoje przygody po koncercie rapowej grupy Rae Sremmurd. Wulgarnym językiem opisała seks grupowy z raperami. Dziś Linkiewicz ma ponad 800 tysięcy followersów na Instagramie, gdzie promuje i lokuje różne marki, sprzedawała też m.in. obudowy na telefony ze swoją podobizną.

Jednocześnie od pewnego czasu social media krzyczą: ***„Stop making stupid people famous!*** **Nie promujcie tej patologii! Po co o nich piszecie?"**. Jak zwykle przy takich okaziach wini sie media. Ale czy to media dają im kolejne ***„follow"***, na którym zarabiają?

Od jakiegoś czasu obserwujemy w Polsce nagły wzrost popularności tzw. patocelebrytów. Apogeum przyniosła ostatnia walka Fame MMA między Moniką „Esmeraldą" Godlewską a Martą Linkiewicz. Wszystkie media, nawet te pozornie wyższej klasy niż tabloidy, żyły tym wydarzeniem. Przed walką organizowano konferencje prasowe, na których napompowane celebrytki obrzucały się wyzwiskami, seksualnymi aluzjami i rzucały w siebie przedmiotami. Przypominało to bardziej awanturę przed blokiem (zwłaszcza gdy Linkiewicz wrzeszczała w odpowiedzi na każdą zaczepkę: **„Ryj!"**) niż konferencję, ale liczba publikacji się zgadzała, a to przecież najważniejsze. Byłam w szoku, że

ludzie wykształceni, zajmujący się na co dzień kulturą czy biznesem, płacili, żeby to widowisko zobaczyć. Stawiali pieniądze na laskę, która zasłynęła śpiewaniem (a raczej wyciem) kolęd

na YouTubie, a potem pijana wjechała w ścianę, albo na drugą laskę, która zasłynęła chwaleniem się w sieci seksem z raperami w autokarze. Szok.

Początków zjawiska patocelebrytów należy zapewne doszukiwać się w pierwszych programach typu *reality show*. „Big Brother", „Jersey Show" (MTV) i podobnych, ukazujących nie gwiazdy, lecz „zwykłych" ludzi w codziennych sytuacjach. (Prawie) każdy z nas był kiedyś pijany na imprezie, pokłócił się z kimś czy palnął jakieś głupstwo. Jednak nie każdemu towarzyszyła kamera. I to wszystko zmieniło. W Polsce pierwsze szlaki dla patocelebrytów przecierali bohaterowie takich programów jak „Big Brother", „Bar", „Dwa światy". Prekursorkami były np. Doda, obecnie Dorota Stępień, która w polsatowskim „Barze" zaczynała karierę, czy „Frytka", niegdyś Agnieszka Frykowska, obecnie Maja Brzezińska, która zasłynęła seksem w jacuzzi przed kamerami TVN. Polskie telewizje mają też za sobą takie hity oglądalności jak „Jestem jaki jestem" – *reality show* o życiu Michała Wiśniewskiego i Mandaryny (TVN), czy „Enjoy the View. Love Natalia" pokazujące (roznegliżowane) życie prywatne Natalii Siwiec i jej męża. Wszystkie programy opierały się oczywiście na awanturach, goliźnie, balansowaniu na granicy erotyki i przemocy.

Z czasem jednak ten typ sławy przejadł się ludziom i *reality shows* odeszły do lamusa. Jak to jednak zwykle bywa, moda powraca i w ostatnich latach przeżywamy wielki powrót tego zjawiska. I jest o wiele łatwiej – dzięki mediom społecznościowym nie trzeba przechodzić castingów i dostawać się do programów telewizyjnych.

Pierwszą falą patocelebrytów były ofiary operacji plastycznych – w Polsce m.in. niejaka Anella (Angelina Nadolna), która już na szczęście zniknęła z social mediów, Michał Przybyłowski, czyli Polski Ken, który obecnie… nagrywa vlogi z Godlewską. Gorzej niż w brazylijskiej telenoweli.

W Stanach ich pierwowzorami był m.in. Żywy Ken, czyli Rodrigo Alves, który przeszedł ponad 150 operacji plastycznych. Dlaczego ludzie chcą na to patrzeć? Dziwię się, że kogoś to dziwi – to przecież oczywisty odpowiednik popularnych przed laty rozrywek cyrkowych w stylu kobiety z brodą. Ofiary operacji plastycznych wyglądają jak żywcem wyjęci z „American Horror Show". Internauci kochają ich nienawidzić.

Za oceanem patocelebryci też przeżywają renesans. I to za pieniądze, o których polskie ***„wanna be"*** mogą tylko pomarzyć. Kto w Stanach jest obecnie największą gwiazdą, zarabia miliony, nie robiąc nic? Oczywiście rodzina Kardashianów. A czym są, jeśli nie patocelebryctwem? Zoperowane do bólu, nagie na zawołanie, awanturujące się i sprzedające swoją prywatność od lat siostry, zaczęły karierę medialną od sekstaśmy Kim. Z ostatnich zjawisk warto wspomnieć o Danielle Bregoli, obecnie przedstawiającej się jako raperka Bhad Bhabie, na początku znana jako ***„cash me outside girl"***, która stała się viralową sensacją w wieku 13 lat po występie w telewizyjnym show Dr. Philla, gdzie awanturowała się z matką. Obecnie 16-latka ma miliony odtworzeń na YouTubie, jej singiel trafił na listę Billboardu, podpisała wart 900 tys. dolarów kontrakt z „matką kosmetyczną" i jest w trakcie nagrań do drugiego sezonu własnego *reality show*. Portal TMZ szacuje, że nastolatka w tym roku zarobi ok. 10 mln dolarów. 3 lata po tym, jak darła się na matkę w telewizji.

Często mówi się, ze Marta Linkiewicz jest jej polską odpowiedniczką. Za walkę z Godlewską zainkasowała ponoć 100 tys. zł. Transmisję na YouTubie oglądało 200 tysięcy osób. Ważąca 76 kilo Linkiewicz położyła lżejszą o 16 kilo Godlewską w 44 sekundy. Jeśli jednak ktoś miał nadzieję, że to koniec – jednorazowy pryszcz na gładkiej skórze showbizu – to mam złą wiadomość – już 22 czerwca Linkiewicz znów będzie się bić, tym razem z youtuberką, niedawno znaną jako Seksmasterka, obecnie raperką (?) Lil Masti. Ta zasłynęła w sieci… cóż, opowiadaniem o seksie i pokazywaniem ciekawostek typu wkładanie całej pięści do ust (może i imponujące, ale niezbyt przydatne w walce) czy prezentowaniem się nago na koniu. Głęboko chcę wierzyć, że nie inspirowała się Mamą Madzi i jej słynną okładką w „Super Expressie"…

ALEKSANDRA PAJEWSKA

REBUS 2

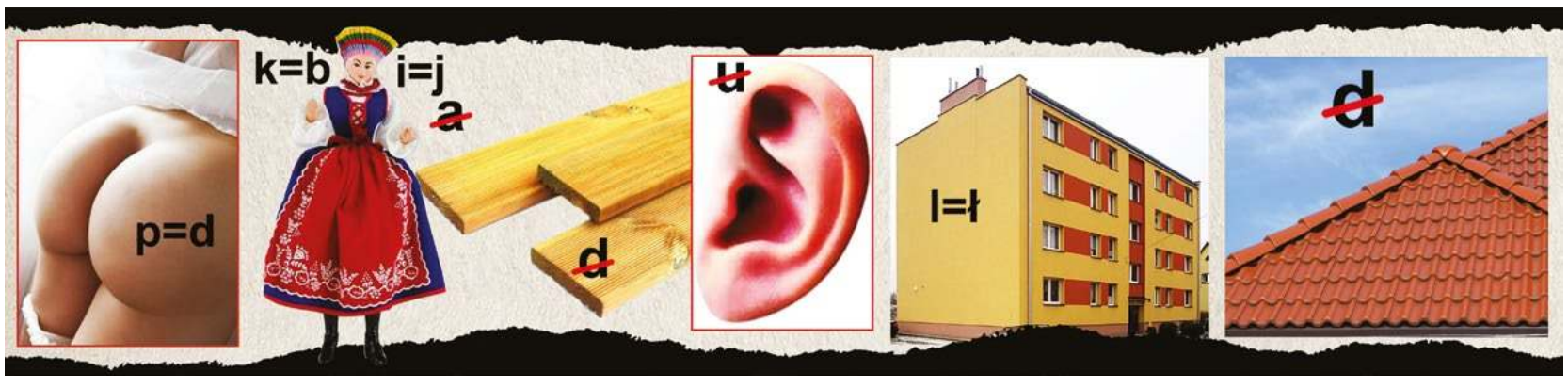

eprasa.pl 5baaa01084

Boski Rokossowski

ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

22 czerwca 1944 r. – dokładnie w 3. rocznicę ataku Niemiec hitlerowskich na Związek Radziecki – rozpoczęła się gigantyczna operacja ofensywna Armii Czerwonej na froncie centralnym mająca na celu wyzwolenie Białorusi. Operacji tej warto poświecić uwagę z kilku względów. Po pierwsze: w jej wyniku Wehrmacht poniósł największą klęskę w II wojnie światowej, kilkakrotnie większą niż w bitwie stalingradzkiej. Po drugie: w końcowej jej fazie Armia Czerwona wkroczyła na ziemie polskie i doszła do Wisły. Po trzecie: operacją tą dowodził i autorem jej koncepcji był nasz rodak Konstanty Rokossowski, posiadający poczucie polskiej tożsamości i władający polskim językiem.

Dodatkowej pikanterii tej historii dodaje fakt, iż w toku przygotowań do tej operacji doszło do sporu Rokossowskiego ze Stalinem o jej koncepcję, sporu przez dziesięciolecia ukrywanego. Zacznijmy od tego sporu.

1.

20 maja 1944 r., miesiąc przed początkiem operacji, Stalin zwołał w sztabie generalnym naradę wyższych dowódców mających w niej uczestniczyć. Rokossowski brał w niej udział, gdyż dowodził frontem zachodnim (niedługo potem przemianowanym na 1 Białoruski), najsilniejszym i kluczowym dla tej operacji. Na naradzie przedstawiono już gotowy i zaaprobowany przez Stalina oraz Żukowa plan operacji opracowany przez zastępcę szefa sztabu generalnego gen. Aleksieja Antonowa. Nieoczekiwanie plan ten zdecydowanie zakwestionował Rokossowski i zaproponował inną jego koncepcję. Stalin nie znosił sprzeciwu wobec propozycji, które już zaakceptował. Zatem zaproponował, aby dać gen. armii Rokossowskiemu (nie był jeszcze marszałkiem) 20 minut na przemyślenie propozycji Antonowa w osobnym pokoju i przedstawienie swego stanowiska po tym namyśle. Rokossowski wrócił po dwudziestu minutach i oświadczył, że nabrał jeszcze większego przekonania do swej koncepcji. Na to Stalin orzekł, że widocznie 20 minut było za mało, aby rzecz przemyśleć, i odesłał Rokossowskiego na kolejne medytacje. Kiedy zabieg powtórzył się po raz trzeci, do Rokossowskiego udali się Mołotow i Malenkow, aby go skłonić do poniechania sporu. Rokossowski zdenerwowany oświadczył, że jeśli jego koncepcja zostanie odrzucona, będzie zmuszony prosić o zwolnienie z dowodzenia Frontem Zachodnim. Stalin ustąpił, przyjął koncepcję Rokossowskiego, ale mu pogroził: **„Bierzecie na siebie wielką odpowiedzialność!”.**

Zrezygnować z Rokossowskiego nie chciał. Miał on za sobą skuteczne dowodzenie bitwą stalingradzką oraz kluczowym frontem w bitwie na Wale Kurskim. Niełatwo było go zastąpić.

2.

Na czym polegała różnica koncepcji Antonowa i Rokossowskiego? Poczytny niemiecki historyk tej wojny publikujący pod pseudonimem Paul Carell nazwał operację „Bagration” **„Kannami niemieckiej armii”***. Tym porównaniem wskazał na istotę sprawy.

Przypomnijmy. 2 sierpnia 216 r. p.n.e. w czasie drugiej wojny punickiej na południu Italii pod wioską Kanny Hannibal na czele 50 tysięcy żołnierzy otoczył i zniszczył doborowe siły Rzymu, 8 legionów, znaczne wojska sprzymierzeńców, łącznie ponad 80 tysięcy żołnierzy. Ocalało tylko 12 tysięcy, reszta zginęła, polegli obaj dowodzący konsulowie, wszyscy trybuni wojskowi (generałowie), większość oficerów. Plan tej bitwy od wieków jest przedmiotem studiów we wszystkich szkołach wojskowych. Uchodzi za arcydzieło sztuki wojennej, za bitwę doskonałą, obliczoną nie tylko na pokonanie, lecz na całkowite zniszczenie przeciwnika.

Antonow zaproponował frontalny atak przeważającymi siłami, pokonanie oporu niemieckiej Grupy Armii Środek *(Heeresgruppe Mitte)* i zmuszenie jej do odwrotu w kierunku Wisły. Rokossowski zaś serię uderzeń kleszczowych i całkowite zniszczenie poszczególnych niemieckich armii w kolejnych kotłach. Pokierował wykonaniem tego zamiaru. Po dziesięciu dniach operacji, gdy pierwszy kocioł w rejonie Bobrujska już został zlikwidowany, a drugi w rejonie Mińska zamknięty, Stalin zdecydował się mianować Rokossowskiego marszałkiem. Przyznał mu rację.

Grupa Armii Środek była najsilniejszym zgrupowaniem Wehrmachtu na froncie wschodnim. Latem 1944 r. tworzyły ją 4 armie: pancerna i 3 ogólnowojskowe. Łącznie ponad 800 tysięcy żołnierzy. Po trzech tygodniach radzieckiej ofensywy ta grupa armii uległa całkowitej destrukcji. Została zniszczona w trzech kolejnych kotłach. Ocalałe resztki liczyły niespełna 150 tysięcy żołnierzy. Szacuje się, że 300 tysięcy poległo, 250 tysięcy zostało rannych, a 120 tysięcy dostało się do niewoli. Straty w sprzęcie wyniosły 2 tys. czołgów i wiele innych pojazdów. Wehrmacht już do końca wojny nie zdołał tych strat wyrównać.

Rozmiar katastrofy najlepiej ilustrują losy korpusu generalskiego. W strefie działań bojowych było 47 niemieckich generałów dowodzących korpusami lub dywizjami. Ocalało 16, a 31 pozostało na polu bitwy – polegli lub poszli do niewoli.

Dwie armie, 3 pancerna i 4 ogólnowojskowa straciły wszystkich dowódców korpusów i większość dowódców dywizji. Można powiedzieć, że Armia Czerwona brała srogi odwet za klęski z 1941 r.

3.

28 czerwca Hitler odwołał dowodzącego tą grupą wojsk feldmarszałka Ernsta Buscha i powierzył dowództwo najwierniejszemu z wiernych, feldmarszałkowi Walterowi Modelowi, pozostawiając jednocześnie pod jego komendą grupę Armii Zachodnia Ukraina. Model z największym trudem zdołał w drugiej połowie lipca odtworzyć linie obrony nad Wisłą. Zrezygnował w tym celu z obrony Lwowa i przerzucił nad Wisłę kilka dywizji z Ukrainy. Na przełomie lipca i sierpnia udało mu się wyprowadzić skuteczny kontratak pancerny w rejonie Wołomina, który zadał znaczne straty radzieckiej 2 armii pancernej i na pewien czas pozbawił ją zdolności ofensywnych. Jej marsz w kierunku Warszawy został powstrzymany.

Wojska frontu, którym dowodził Rokossowski – liczące 1,2 miliona żołnierzy – w ciągu miesiąca przeszły w walkach ponad 600 km – od górnego Dniepru do środkowej Wisły. Średnio 20 km dziennie. Ofensywa ta musiała na pewien czas wygasnąć ze względów logistycznych, linie zaopatrzenia zostały niebezpiecznie wydłużone. Zatrzymano się na dużej rzece, ale w zgodzie z regułami sztuki wojennej po zdobyciu na jej drugim brzegu dwóch przyczółków, umożliwiających późniejszą koncentrację do następnego skoku.

Pewnym ułatwieniem i wsparciem dla ofensywy Rokossowskiego było pomyślne lądowanie zachodnich aliantów w Normandii. Zmusiło ono Hitlera do przerzucenia kilku dywizji pancernych z frontu wschodniego na Zachód jeszcze przed początkiem radzieckiej ofensywy. Tym niemniej jej sukces okazał się wiekopomny i przysporzył ogromną chwałę pomysłodawcy i wykonawcy jej planu marszałkowi Rokossowskiemu. Stalin nie zapomniał jednak i nie wybaczył mu do końca początkowego sporu. Wbrew logice i tradycji odebrał zwycięskiemu marszałkowi dowództwo wojskami, z którym ten sukces został odniesiony. Powierzył mu inny, raczej drugorzędny front. Zaś 1 Białoruski wycelowany w Berlin otrzymał Żukow. Zapewne oprócz urazy do Rokossowskiego na decyzji Stalina zaważyła kwestia narodowa, zdobywcą Berlina musiał być Wielkorus, a nie Polak.

4.

Polska też nie okazuje wybitnemu rodakowi szczególnej atencji ani wdzięczności. Przechodzimy do porządku nad tym, że w tej największej z wojen w historii najwybitniejszym zapewne dowódcą okazał się Polak nie tylko z pochodzenia, ale także ze świadomej tożsamości. Nie chlubimy się nim, choć powinniśmy. Bo był radzieckim marszałkiem? Cóż, książę Józef Poniatowski był generałem austriackim, a poległ jako francuski marszałek. Jeszcze gorzej z Kazimierzem Pułaskim. Walczył i poległ jako generał amerykański, w Polsce zaś w tym czasie był banitą ściganym za zamach na króla. To jakoś nie przeszkadza ich wielbić.

Rokossowskiemu należałaby się też odrobina wdzięczności za wyzwolenie znacznej części Polski spod hitlerowskiej okupacji. Nawet gdy uważa się, że to wyzwolenie nie było kompletne, nie przyniosło pełnej wolności. Bezspornym pozostaje jednak fakt, że każdy dzień hitlerowskiej okupacji kosztował na terenie Polski 3 tys. istnień ludzkich. Nad narodem polskim zawisła realna groźba biologicznej zagłady. Niezależnie od tego, jak ocenimy to, co nastąpiło po wojnie, ten horror ustał, a groźba zagłady została uchylona, co dla losu narodowego było w tamtych czasach decydujące.

M.Z.

* Paul Carell „Spalona ziemia”, Warszawa 2003.

Przewaga dwóch kup?

Pan redaktor naczelny tygodnika „NIE” znowu po krótkim okresie zawahania wykazał się znajomością wyborczej arytmetyki i politycznej kuchni (brawo, szanowny panie Jerzy!). Mianowicie odwołał swoje poprzednie stanowisko o dwóch blokach wyborczych, które rzekomo miały zapewnić opozycji przewagę nad PiS-em w jesiennych wyborach. Na razie jest zdania, że szansę ma wyłącznie jak najszersza koalicja.

Wyznam, że męczą mnie już nieprzemyślane polityczne proroctwa i poronione analizy red. Wołk-Łaniewskiej, do których dorzuciła właśnie kolejne – o rzekomych działaniach bądź rozmowach przewodniczącego SLD z panem Biedroniem i z panem Zandbergiem. Nic obłędniejszego, przynajmniej na razie! Przewodniczący SLD, pan Czarzasty, jak wynika z wywiadu z nim na portalu NaTemat, dwukrotnie rozmawiał z panem Biedroniem, ale nic z tych rozmów nie wyszło i raczej nie wyjdzie, bo szef SLD również za dobrze zna się na arytmetyce wyborczej (którą p. redaktor z uporem godnym lepszej sprawy stara się ignorować i zachęcać do tego innych). Dogaduje się raczej z panem Schetyną. Podobnie jeden kontakt telefoniczny pana Biedronia z panią Nowacką (o czym też mówiła ona dziennikarzowi portalu) skończył się typowo dla pana Roberta, mianowicie zerwaniem przez niego kontaktów i nieodbieraniem telefonów. Druga „kupa”, czyli ta lewicowa, kurczy się oto w kupkę, jaką dalej tworzy Lewica Razem (chyba że i ona dołączy do Koalicji Europejskiej). Wychodzi więc na to, że kolejna ambitna prognoza AWŁ się rozwieje; w SLD ma się odbyć w sprawie koalicji referendum, ale nie wydaje mi się, żeby „aktyw” zdecydował się na samodzielny start. W każdym razie mamy nadal wielką kupę i małą kupkę niczym zostawioną na trawniku przez yorka.

Na marginesie: diabli mnie biorą (nieistniejący) na manierę p. redaktor, która niby bramkarz pod nocnym klubem selekcjonuje polityków i ugrupowania na „lewicę” i „nielewicę” według sobie tylko wiadomych, a często zmiennych, kryteriów. Drodzy Państwo! Dawny, ekonomiczny podział na lewicę i prawicę dawno już się zatarł, bo świat się zmienił! Dzisiaj sens ma jedyne kryterium – postęp; kto z postępem, zasługuje na miejsce pod sztandarem lewicy, kto przeciw niemu i żyje z łbem odkręconym wstecz, ten prawak, reakcjonista, konserwatysta czy jak go tam nazwiemy. Jeśli tak spojrzeć na sprawę, to sensu nabiera cytowane przez p. AWŁ hasło „nie ma wroga na lewicy”. W tak szeroko pojętej lewicy (lub w grupie progresywistów, jak kto woli) znajdzie się w oczywisty sposób miejsce i dla Zielonych, i dla postępowych ruchów miejskich, i dla Inicjatywy Polska Barbary Nowackiej (choć AWŁ mówi o tym „z głębokim bólem”). Z bólem? A niby dlaczego? Bo razem z innymi organizacjami kobiecymi zbierała podpisy pod projektem ustawy chroniącej prawa reprodukcyjne kobiet i była jedną z inicjatorek Czarnego Protestu? Bo zbiera teraz podpisy pod projektem ustawy o świeckim państwie? Bo konsekwentnie od 4 lat o świeckim państwie i haniebnych przywilejach i praktykach Kościoła bez ogródek się wypowiada? A co, u licha, p. redaktor w tej sprawie zrobiła (oprócz klepania w klawiaturkę dla bułeczek i kawki latte)? Lubię sposób, w jaki przykłada ona hierarchom, mnie, ateiście, miło się to czyta, ale to panią Nowacką w transmisjach na żywo z demonstracji widzę w sieci, a nie p. AWŁ! Podejrzewam najzwyklejszą zawiść jako podłoże tej wściekłej niechęci, radziłbym się zatem zawstydzić i przyznać rację dawnemu mentorowi, że „nie ma wroga na lewicy”. A o tym, kto jest lewicą, niech zadecydują lewicowi wyborcy.

Adam T.

Komu wypowiemy wojnę

Hurra! Cieszmy się! Będzie wymarzony przez PiSdzielców Fort Trump – stosowne ustalenia podpisał Adrian (mam nadzieję, iż tym razem na siedząco) i 45. prezydent USA, Donald. Był Układ Warszawski, w którym Wielki Czerwony Brat zza Buga odgrywał rolę wiodącą. Teraz mamy Układ Waszyngtoński, gdzie Wielki Biały Brat zza Oceanu wyznaczył nas, Polaków, jako państwo frontowe, stojące na pierwszej linii frontu między dwoma mocarstwami. Po co Lechu wyprowadzał Armię Czerwoną z Polski – skoro teraz wprowadzamy inne wojska „okupacyjne” za kolejną obietnicę zaniechania amerykańskich wiz dla Polaków? Jaka będzie różnica między utrzymywaniem poddoddziałów Północnej Grupy Wojsk Radzieckich a utrzymywaniem dywizji USArmy? Wyrzucamy miliardy na zbrojenia – a komuż to chcemy wypowiedzieć wojnę? Albo na czyj atak oczekujemy? Dochodzą jeszcze koszty utrzymywania obcych wojsk – przecież wiadomo, że ponosić będziemy je my, Polacy. Czyż sądzicie, że armia amerykańska za darmo będzie nadstawiała piersi w obronie Najjaśniejszej? Takie działania nie mają nic wspólnego z bezpieczeństwem Polski. Bezpieczeństwo kraju polega na mądrej dyplomacji – czego o obecnym PiSowskim „garniturze” dyplomatycznym nie da się powiedzieć. Bezpieczeństwo takiego pyłku na mapie świata, jakim jest Polska – to nie zrażanie sobie sąsiadów bliskich i odleglejszych. To ścisła współpraca w nauce, oświacie i tysiącach innych branż, niekoniecznie militarnych.

Bartek Majeran

Rebus 1: Malość Horały wyszła na jaw przy wielkości Tuska.
Rebus 2: Duda buja w jankeskich obłokach.

R E K L A M A

eprasa.pl 5baaa01084

Fiut-35

Jako zawzięta USAfobka z prawdziwą radością obserwuję przypływ zdrowego krytycyzmu, jaki randka Dudy z Trumpem wzbudziła w szeregach przeciwników władzy. Jak się okazuje, opozycyjni politycy i antyrządowy komentariat nienawidzą PiS-u bardziej, niż kochają Amerykę, dzięki czemu polska opinia publiczna wreszcie miała okazję usłyszeć kilka sensownych zdań na temat absurdalnych wydatków na zbrojenia i żenującego łaszenia się do Nowego Wielkiego Brata.

Z rozkoszą zrekapituluję.

I.

Usłyszeliśmy, że – po pierwsze – sam samolot F-35 jest nieprzytomnie drogi. Jak drogi, dokładnie nie wiadomo, ale za podobny kontyngent Belgia zapłaciła 4 mld euro, czyli ponad 17 mld zł, co jest wydatkiem po prostu absurdalnym.

Powiedziano też, że – to po drugie – zgodnie z analizami NATO koszt zakupu samolotów to zaledwie 30 proc. kosztów ich używania, co oznacza, że za radosną wyprawę Dudy z Błaszczakiem z roku 2019 płacić będziemy tak mniej więcej do połowy XXI wieku i w sumie zapłacimy jakieś 60 miliardów. Np. koszt szkolenia pilotów to 10 mln dolków na głowę, koszt godziny lotu wynosi 40 tys. USD, a według wymogów natowskich na jeden myśliwiec powinno przypadać 1,5 pilota i każdy pilot powinien latać przez minimum 160 godzin rocznie.

Po trzecie – komentatorzy trafnie zauważyli – gdy ktoś idzie do handlarza na bazarze i już na wstępie ogłasza, że chce kupić tylko u niego i żaden inny stragan go nie interesuje, to silnie osłabia swoją pozycję negocjacyjną.

Po czwarte – powiedziano, że jeśli już koniecznie musimy kupować samoloty bojowe, to zamiast bez wazeliny włazić w dupę Ameryce i futrować koncern Lockheed Martin, lepiej byłoby wejść w kooperację z jakimś europejskim sojusznikiem, wziąć udział w jednym z europejskich programów, gwarantując przy tym rozwój techniczny i kontrakty dla polskiego przemysłu zbrojeniowego. Który – powiedziano również – zostanie przez ten zakup zarżnięty, bo nie tylko nic nie będzie miał przy nim do roboty, ale też straci tę robotę, którą ma dotychczas przy serwisowaniu migów i suchojów.

Znaleźli się nawet odważni – to po piąte – którzy stwierdzili, że być może zakup ten w ogóle nie jest niezbędny i zamiast przygotowywać się do wojny, której nie będzie, Polska powinna wydać te miliardy na rzeczy potrzebne. Szczególne uradowała mnie wypowiedź Marka Borowskiego, którą z przyjemnością zacytuję w całości: **„Cały czas zbytnio nadmuchiwany jest ten balon zagrożenia rosyjskiego. Stać nas na takie wydatki, ale to wszystko odbywa się kosztem zdrowia, edukacji, czyli krótko mówiąc, kosztem jakości życia Polaków. Rząd pakuje miliardy w zakup nowoczesnego uzbrojenia, a zagrożeń nie ma”.**

To wszystko to – przyznacie – kwestie, których nie słyszymy w Polsce na co dzień. Chwała prezydentowi Dudzie, iż machając do amerykańskich myśliwców, wywołał taki przypływ szczerości w polskiej klasie politycznej i komentatorskiej.

Ilustr. WŁODEK KIERUS

Tym niemniej kilka rzeczy nie zostało powiedzianych. Pozwólcie, że uzupełnię.

II.

W tym samym dniu, w którym Duda czulił się do Trumpa, magazyn „Defence News” ujawnił analizy Pentagonu, zamówione w związku ze zbliżającą się decyzją o wdrożeniu tego genialnego wynalazku do produkcji przemysłowej. Okazuje się, że najdroższa broń w historii świata – jej łączy koszt przekroczy półtora bln dolarów – posiada 17 **„braków pierwszej kategorii”** ***(„category 1 deficiency”),*** czyli fundamentalnie istotnych błędów, które grożą wykonywaniu zadań myśliwca, a także, potencjalnie, zdrowiu i życiu pilotów. Jak wyjaśnił wiceadmirał Mathias Winter, szef programu projektowania i produkcji F-35, nie ma strachu, bo nie należą one do kategorii 1A, czyli bezpośredniego zagrożenia utratą życia lub maszyny. A poza tym Pentagon spodziewa się, że 9 z tych problemów zostanie zdegradowanych do kategorii 2, zanim decyzja o masowej produkcji zostanie podjęta, a z pozostałych 8 planuje się rozwiązać 6. 2 zostaną uznane za „dopuszczalne ryzyko”, albowiem prawdopodobieństwo ich wystąpienia jest „ekstremalnie niskie”.

Po kolei.

III.

Po pierwsze: myśliwiec staje się niestabilny, a jego ruchy nieprzewidywalne, gdy kąt natarcia przekracza 20 stopni. Co jest raczej częste w sytuacji walki powietrznej albo ucieczki przed nadlatującym pociskiem. Piloci meldowali, że w takiej ekstremalnej sytuacji samolot doświadcza nieprzewidywalnych zmian wysokości lotu, a także trzęsie się i kolebie. Jak zapisano w raporcie, brak pełnej kontroli nad samolotem w takich sytuacjach spowoduje **„kolizje w powietrzu podczas treningu oraz straty samolotów podczas walki z samolotami i pociskami przeciwnika”.**

Po drugie: piloci gówno widzą w nocy. Podczas bezgwiezdnych nocy na wyświetlaczu hełmu pojawia się zielona poświata, która oślepia pilota, co uniemożliwia mu zobaczenie pokładu lotniskowca. Można ją przygasić, ale wtedy odczytanie wyświetlacza staje się bardzo trudne. Pentagon rozwiązał problem, pozwalając w nocy latać na F-35 tylko najbardziej doświadczonym pilotom, którzy mają na koncie ponad 50 nocnych lądowań na lotniskowcu – co jest jednak rozwiązaniem niekoniecznie satysfakcjonującym z polskiego punktu widzenia. Dodatkowo ostatnie testy wykazały, że podczas szczególnie ciemnych nocy na wyświetlaczu noktowizora pojawiają się zygzaki i prążki, które skutecznie zasłaniają widok. **„Podczas testowania na lądzie w warunkach zachmurzonego światła gwiezdnego piloci nie byli w stanie w żadnym momencie wygenerować wiarygodnego obrazu horyzontu”** – informuje dokument. Obydwa problemy są na najlepszej drodze do rozwiązania – odpowiada optymistycznie Pentagon. Optymizm może budzić pewne wątpliwości, zważywszy na to, iż problem z zygzakami na wyświetlaczu został po raz pierwszy odnotowany w listopadzie 2017 r. Z **„zieloną poświatą”** producent zmaga się od roku 2012. Hełm do F-35 kosztuje 400 tys. dolarów sztuka.

Po trzecie: system zarządzania zapasami, zwany ambitnie ALIS – Autonomiczny System Informacyjny Logistyki – miał w założeniu kontrolować stan poszczególnych części samolotów, informować o konieczności wymiany, gwarantować dostępność części zapasowych. Z tym że nie działa – co wielokrotnie doprowadziło już do uziemienia samolotów i rezygnacji z zaplanowanych misji. Jak powiedział autorom raportu jeden z techników bazy lotniczej Marines w Beaufort w Południowej Karolinie, systemowi ALIS zdarzało się informować, że oczekiwanie na daną część wymienną wyniesie od dwóch do trzech lat, co zmusza techników do obchodzenia systemu i zamawiania części tradycyjnymi metodami. Mało tego: różne aplikacje do zarządzania „zdrowiem” myśliwca pokazują sprzeczne dane o tym, czy jest on zdolny do lotu – i dzieje się tak od 2012 r., a problem nie został jeszcze rozwiązany. Co gorsza, przez „dziury” w systemie ALIS jego dane na temat zużycia poszczególnych części są niewiarygodne: zdarza się, że system nie zauważa, że jakaś część wymaga natychmiastowej wymiany.

Za to – trzeba odnotować – ALIS znakomicie sprawdza się w szpiegowaniu sojuszników. System przekazuje wszystkie dane z wszystkich czynnych myśliwców – zarówno do Pentagonu, jak i do firmy Lockheed Martin, informując o tym, gdzie, kiedy i po co F-35 latają. Co najmniej 2 z krajów uczestniczących w programie wystosowały do Pentagonu ultimatum, grożąc wycofaniem się z zakupu, jeśli system nie umożliwi im zablokowania przepływu wrażliwych danych wywiadowczych do amerykańskiego departamentu obrony i koncernu zbrojeniowego. Koncern dostał dodatkowy kontrakt na 26 mln dolków, żeby napisać program pozwalający niepodległym krajom na chronienie tajemnic przed Amerykanami.

Po czwarte: F-35 nie lubi, gdy jest za zimno, ale nie lubi też, gdy jest za ciepło. W zasadzie, niczym wschodnioeuropejski emeryt, czuje się dobrze tylko w umiarkowanej strefie klimatycznej. Piloci startujący z bazy lotniczej Eielson na Alasce wielokrotnie musieli awaryjnie lądować, albowiem samolot ostrzegał ich o awarii akumulatora. Okazało się, że ostrzeżenie było włączane przez lodowate powietrze dostające się do wnętrza przez klapę podwozia z przodu samolotu, co powodowało, że akumulator robił się bardzo zimny, co z kolei było przez system ostrzegawczy odczytywane jako zapowiedź awarii. Z kolei pilot lądujący na pokładzie desantowego statku szturmowego Essex w nieekstremalnie upalny dzień – raporty mówią, że temperatura wynosiła 32 stopnie – miał olbrzymie problemy z pionowym posadzeniem maszyny, a ma to być przecież jednym z jej największych atutów. Okazało się, że przy takiej temperaturze i nieco większym niż zwykle obciążeniu samolotu silnik nie był w stanie wygenerować niezbędnego do pionowego lądowania ciągu. **„Może to skutkować nieoczekiwanym i niekontrolowanym opadnięciem samolotu, prowadzącym do twardego lądowania, wykatapultowania fotela pilota i utraty maszyny”** – czytamy w raporcie.

Po piąte: samolot rozpada się podczas lotu. Może nie na kawałki, ale parcieje na pewno. Na najwyższych pułapach F-35 może latać prędkością naddźwiękową tylko przez krótki czas, zanim pojawi się ryzyko uszkodzenia struktury samolotu i utraty jego „niewidzialności” – wykazały testy. Podczas testów naddźwiękowych w 2011 r. na odpowiedzialnej za niewykrywalność samolotu powłoce *stealth* pojawiły się pęcherze. Pentagon uznał, że problem jest marginalny i odpowiedział rozporządzeniem ograniczającym długość lotu z szybkością naddźwiękową. Np. F-35C może latać z szybkością 1,3 macha przy włączonym dopalaczu tylko przez 50 „skumulowanych sekund”, co oznacza, że nie może zwolnić na chwilę i przyspieszyć znowu: musi zrobić co najmniej 3 minuty przerwy, co zdaniem producenta samolotu rozwiązuje problem. **„Uszkodzenia pojawiły się w warunkach najwyższych ekstremów lotów testowych, których prawdopodobieństwo powtórzenia w scenariuszu operacyjnym jest niskie”** – wyjaśnił Greg Ulmer, odpowiedzialny za F-35 w koncernie Lockheed Martin. Cytowany przez „Defence News” raport nie do końca zgadza się z tą optymistyczną oceną. **„Obserwowanie przez pilotów zegara jest niepraktyczne w scenariuszach istotnych z operacyjnego punktu widzenia”** – zauważa raport, dodając, że niedotrzymanie przez pilotów ograniczeń czasu lotu naddźwiękowego może powodować **„degradację powłoki *stealth*, uszkodzenie anten komunikacji, nawigacji i identyfikacji i/lub znaczące uszkodzenie ogona”.** W innych testach odnotowano, że uszkodzenia termiczne naruszyły integralność strukturalną poziomego wewnętrznego ogona i belki ogonowej. W jeszcze innym samolocie wykryto pęknięcia w łożu silnika po 4 tys. godzin lotu, choć nic nie powinno dziać się przez 8 tys. Ponadto ze względu na rozległe zbiorniki paliwa i słabą odporność samolotów na uderzenia piorunów istnieje znaczne ryzyko pożaru.

No i wreszcie – to po szóste – F-35 może stać się narzędziem tortur. W co najmniej dwóch przypadkach gwałtowny wzrost ciśnienia w kabinie spowodował u pilotów ekstremalny uraz ciśnieniowy objawiający się bólem opisanym jako **„rozdzierający”,** powodujący natychmiastową dezorientację w trakcie lotu, z efektami odczuwalnymi przez wiele miesięcy. W co najmniej sześciu przypadkach lotnicy zgłaszali też niedobór tlenu, co spowodowało nawet czasowe uziemienie F-35 w bazie Luke w Arizonie, gdzie trenują wszyscy amerykańscy i międzynarodowi piloci tego modelu. **„Badania systemów podtrzymywania życia i praktyk konserwacyjnych F-35 w Luke nie doprowadziły do ustalenia jednej podstawowej przyczyny epizodów fizjologicznych”** – informuje raport. Przy okazji wykryto jednak, że maski tlenowe przy fotelu pilota zawodzą „z wyższą niż oczekiwana szybkością”, co może zwiększyć ryzyko niedoboru tlenu. Nienazwany dostawca poczynił **„powolne postępy”** w ulepszaniu tego komponentu, zatem alternatywni producenci są brani pod uwagę przez biuro programu – uspokaja raport. To dobrze, bo tlen jest dość ważny podczas oddychania.

IV.

To tylko najważniejsze z wad samolotów, które funduje nam prezydent Duda za kilkadziesiąt miliardów złotych. W zamian dostał uścisk dłoni prezesa świata i krzesełko, na którym tym razem mógł usiąść przy okazji podpisywania kolejnego pozbawionego znaczenia porozumienia. Niech żyje dozgonna przyjaźń Dudów z Trumpami!

AWŁ

Polska idzie na wojnę

Dokończenie ze str. 1

Na razie Siły Zbrojne RP z Rosją w szranki stawać nie mogą, bo ruska armia ustępuje tylko amerykańskiej, a z uwzględniającego 50 różnych czynników rankingu Global Firepower wynika, że od dojścia PiS-u do władzy wojsko polskie, mimo posiadania walecznych oddziałów Wojsk Obrony Terytorialnej, jest coraz niżej notowane – w 2015 r. zajmowało 18. pozycję na świecie, a dziś 24.

Niedobory sprzętowe w zakresie broni konwencjonalnej niechybnie nadrobilibyśmy męstwem i zdolnością walki do końca, lecz Rosja ma arsenał nuklearny, a po grzybku nawet Duda nie wytrwałby na polu chwały dłużej niż zdrowaśkę.

Atom odstraszy

Polska broni atomowej nie posiada, ale F-35 jest przystosowany do przenoszenia bomb jądrowych. Pierwszy krok mamy więc prawie za sobą. Prawie, bo przecież na razie nie mamy nawet lotki od jankeskiego samolotu. Krok drugi: trzeba nakłonić Trumpa do podarowania nam choć sztuki z kilkudziesięciu bomb atomowych znajdujących się na terenie Niemiec w związku programem *„Nuclear sharing”*, polegającym na udostępnianiu przez Amerykanów broni nuklearnej innym państwom. Skoro u boku USA zajęliśmy miejsce szkopów i Wielkiej Brytanii i zostaliśmy europejskim mocarstwem, należy się to nam jak psu zupa, zwłaszcza że Niemcy nie chcą u siebie trzymać tych niebezpiecznych przedmiotów. O tym, że łakniemy atomówki jak kania dżdżu, MON mówiło zaraz po objęciu władzy przez pisiorów, wywodząc, że **„agresja na nasz kraj musi łączyć się z potężnym ryzykiem, a to jest możliwe, pod warunkiem że dysponować będziemy bombą atomową, ona odstraszy przeciwnika”.** Po wypowiedzi Dudy w kwestii rosyjskiej posiadanie bomby stało się polską racją stanu.

Jeśli Trump nie da nam poszaleć, cała nadzieja w podpisanym z USA memorandum w sprawie budowy elektrowni atomowej.

Elektrownia jądrowa w rękach odważnych Polaków w zupełności wystarczy, aby odstraszyć wrogów ojczyzny raz na zawsze; to skuteczniejszy strach na ruble niż tysiąc ultranowoczesnych myśliwców.

Czarnobyl dowodzi bowiem, że niektóre elektrownie wykazują większą siłę rażenia niż dziesiątki bomb atomowych. Trzeba tylko uważać, żeby wiatr zamiast na Kreml pyłu promieniotwórczego nie zagnał na Nowogrodzką, bo prezes ma alergię. □

mikolajczyk@redakcja.nie.com.pl

eprasa.pl 5baaa01084

Biustonoszy już nie palą. Palą się do dużych pieniędzy.

Stanik na dwie piłki

Ilustr. WŁODEK KIERUS

Gdy trwają piłkarskie mistrzostwa świata, puby i kawiarnie pełne są ludzi wspólnie śledzących mecze na ekranach telewizorów; piją tam piwo, zagryzają je chipsami, emocjami reagują na każdą ciekawą akcję. Mimo rozgrywania aż dwóch mistrzowskich futbolowych imprez ożywienia w pubach nie zaobserwowano. Te imprezy niewiele obchodzą polskich kibiców. We Francji o medale walczą kobiety. W Polsce zakończył się właśnie turniej, który wyłonił najlepsze drużyny zawodników do lat 20.

Polscy młodzieńcy – czego zresztą można się było spodziewać – okazali się nad wyraz gościnni i nie przeszkadzali innym grać w piłkę. Udział w imprezie skończyli wiele dni przed jej zamknięciem. Kilka razy pisałem o mizernym poziomie szkolenia piłkarskiej młodzieży w naszym kraju, nie ma więc po co pastwić się nad działaczami i trenerami raz jeszcze. Spójrzmy na drugą z mistrzowskich imprez.

Dla polskich kibiców żeńska piłka nożna nie istnieje. Większość z nich zdziwiłaby się, gdyby usłyszała, że w kraju istnieje liga, że jest reprezentacja, która ma selekcjonera, a kluby biorą udział w europejskich rozgrywkach pucharowych, zresztą z takim samym rezultatem, jak męskie drużyny, czyli prędko odpadają.

Wiele słynnych europejskich i światowych klubów oprócz męskich ma także żeńskie zespoły. Nie u nas. Niedawno sekcję piłkarek zorganizowała Lechia Gdańsk i jest to jedyny przedstawiciel Ekstraklasy, który zainteresował się tematem. Piłkarki Lechii występować będą w III lidze, a zatem marsz w górę – jeśli taki plan mają działacze – zaczynają od najniższego poziomu.

O sukcesach polskiej reprezentacji w żeńskim futbolu nie ma co mówić, bo ich po prostu nie ma. Kilku zawodniczkom udało się jednak przebić w Europie. Katarzyna Kiedrzynek broni bramki Paris Saint-Germain, dwukrotnie w finale Ligi Mistrzyń. Po zakończeniu sezonu ligowego nadchodzi czas na dokonywanie podsumowań i publikowanie różnych rankingów. W najlepszej jedenastce francuskiej ligi w bramce miejsce znalazło się właśnie dla Kiedrzynek.

Ewa Pajor od 2015 r. gra w znanym z męskich rozgrywek niemieckim VfL Wolfsburg. Z tym klubem zdobyła mistrzostwo Niemiec, a w zakończonym sezonie została najlepszą strzelczynią Bundesligi (24 gole w 19 meczach). Pajor zdobyła też najwięcej bramek dla reprezentacji Polski – 13.

Od kilku czy kilkunastu lat trwa krucjata sportsmenek, które z pasją równą sufrażystkom, walczącym na przełomie XIX i XX w. o prawa wyborcze dla kobiet, domagają się zrównania ich statusu z kolegami sportsmenami. Oczywiście chodzi o finanse.

O dziwo, tenisistkom się udało. Kolarki szosowe w etapowym wyścigu Tour de Yorkshire przekonały się natomiast, że na żądaniu równości można się trochę sparzyć. Organizatorzy rzeczywiście zrównali wysokość nagród, ale panie musiały pokonywać taką samą trasę jak panowie. Zwykle ścigają się na krótszych dystansach. Cóż, taka sama płaca za taką samą pracę.

Akurat w kolarstwie nagrody finansowe nie bywają – relatywnie – wysokie i nie stanowią podstawy uposażenia zawodniczek i zawodników. Najważniejsze są kontrakty z grupami zawodowymi. Ich wysokość jest tajna, ale można być pewnym, że kolarkom daleko do kolarzy.

W piłce nożnej żadna zawodniczka nawet nie odważyłaby się pomyśleć o gaży, jaką dostaje w Manchesterze United Alexis Sánchez – 300 tys. funtów tygodniowo. Co szczególnie musi wkurzać szefów Chilijczyka – najlepiej opłacany piłkarz Premier League bardzo często siedzi na ławce rezerwowych, stracił formę, jaką zachwycał przed podpisaniem kontraktu. Skąd taka niesamowicie wysoka gaża? Ponieważ kontrakt w poprzednim klubie, czyli Arsenalu Londyn wypełnił on do końca i stał się tzw. wolnym piłkarzem, nowy pracodawca nie musiał płacić za niego milionów odstępnego. Agent Sánchezа wykorzystał sytuację w negocjacjach z Manchesterem United, dlatego pojawiła się ta wysoka tygodniówka.

Wróćmy do piłkarek. One takich problemów nie mają.

Najlepszą futbolistką świata jest Norweżka Ada Hegerberg. Podczas uroczystej gali wręczono jej Złotą Piłkę. Nie obyło się bez głośno komentowanej kontrowersji. Prowadzący uroczystość DJ Martin Solveig zapytał na scenie, czy Hegerberg potrafi twerkować, czyli szybko ruszać pośladkami, co jest niemal obowiązkowym elementem tańca na rurze striptizerek w klubach go-go. Piłkarka spokojnie odpowiedziała, że nie, a

Solveig miał dużo szczęścia, bo laureatka Złotej Piłki jest naprawdę ostrą zawodniczką i – z definicji – potrafi mocno kopnąć, zapewne też w jaja.

O tym, że z Adą Hegerberg nie ma żartów, przekonała się jej rodzima Norweska Federacja Piłki Nożnej. W lipcu 2017 r. po rozegraniu 66 meczów w reprezentacji i strzeleniu w niej 38 bramek ogłosiła rozstanie z kadrą. Powód? Norweska centrala piłkarska nie traktuje równo zawodników i zawodniczek. Trzeba przyznać, że gest zrobił na działaczach wrażenie, zwłaszcza w obliczu zbliżających się mistrzostw świata – i w Norwegii, jako w pierwszym kraju na świecie, zrównano premie dla reprezentacji kobiet i mężczyzn. Hegerberg pozostała jednak nieugięta. Nie pojedzie na mistrzostwa świata, bo nie chodzi jej tylko o pieniądze, ale o równe traktowanie. Zawodniczki powinny mieszkać w hotelach tej samej klasy co męska reprezentacja, korzystać z podobnej opieki medycznej, a obowiązkiem związku jest dbanie o drużyny młodzieżowe z taką samą troskliwością, niezależnie od płci w nich grających.

Na mistrzostwa świata Ada Hegerberg nie pojechała. Jeśli ogląda je w telewizji, to zapewne w towarzystwie męża – obrońcy poznańskiego Lecha, swojego rodaka Thomasa Rogne.

Amerykanka Alex Morgan, choć jest równie twardą bojowniczką jak Hederberg, pojechała na mistrzostwa świata i już w pierwszych dwóch meczach zdobyła 5 bramek. Urodziwa napastniczka jest nie tylko czołową piłkarką, przewodzi także amerykańskim futbolistkom walczącym o równouprawnienie. Amerykankom jest łatwiej niż Europejkom, bo akurat w ich kraju żeńska odmiana tej gry cieszy się nie mniejszą popularnością od męskiej. Panie odnoszą też znaczniejsze sukcesy międzynarodowe od kolegów. Morgan domaga się zrównania płac w męskiej i żeńskiej piłce, choć sama nie ma na co narzekać. Dzięki lukratywnym kontraktom sponsorskim z takimi gigantami jak Coca-Cola czy Nike zarabia miliony.

Alex Morgan ma na pieńku nie tylko z działaczami sportowymi, również z prezydentem Donaldem Trumpem, który niektórymi wypowiedziami obrażał kobiety, ostro krytykuje także jego politykę wobec imigrantów. Zapowiedziała, że jeśli reprezentacja USA zdobędzie złoty medal, a Trump, który lubi afiszować się ze znanymi sportowcami, zaprosi ją do Białego Domu, ona pozostanie we własnym domu.

Inna jasna gwiazda mistrzostw świata piłkarek 33-letnia Brazylijka Marta właśnie we Francji wyrównała rekord należący w męskim futbolu do Miroslava Klosego. We wszystkich mundialach, w których bierze udział, zdobyła 16 bramek. Nie słychać jednak, żeby angażowała się politycznie, choć w jej ojczyźnie ostatnio nie dzieje się najlepiej.

Mistrzostwa we Francji pokazały, że zainteresowanie żeńską odmianą futbolu może powoli, ale jednak rośnie. Agencje badające tzw. oglądalność meldują, że mecze reprezentantek Francji obserwuje w kraju około 10 milionów telewidzów. To więcej niż towarzyski mecz męskiej drużyny mistrzów świata z mało atrakcyjnym rywalem. Stadiony nie wypełniają się do ostatniego miejsca, ale kibiców jest sporo. Wielu z nich przyjeżdża za swoimi drużynami naprawdę z daleka, z Ameryki Południowej, z USA, a zwłaszcza liczni z Chin. Reprezentacja Chin szybko przebiła się do światowej czołówki, na co ich koledzy w najbliższych latach raczej nie mają szans.

W Chinach żeński futbol, podobnie jak większość dziedzin życia, podporządkowany jest centralnemu sterowaniu. Szkolenie w klubach i w reprezentacjach przebiega według zatwierdzonego schematu. Poziom rozgrywek ligowych jest wysoki, podobnie jak gaże piłkarek. Nic więc dziwnego, że sporo zawodniczek marzy o wyjeździe do tego kraju, czym nie różnią się od kolegów piłkarzy. Chiński Związek Piłki Nożnej zarządził jednak, że żaden klub nie może zatrudnić zagranicznej bramkarki. Dlaczego? Bo najważniejsza jest reprezentacja kraju, a tam brakuje dobrych bramkarek. Tak właśnie wygląda centralne sterowanie sportem.

W większości krajów, w których żeński futbol stoi na wysokim poziomie, oparty jest on na mocnych klubach, bardzo często tych samych, które z powodzeniem rywalizują w męskich ligach. To kluby w pełni zawodowe, futbolistki nie muszą pracować, mogą się skupiać na treningach. Niektóre jednak nie rezygnują z pracy. Zarobki Alexisa Sáncheza po zakończeniu kariery wystarczą na wygodne życie nie tylko piłkarzowi, ale jego dzieciom, wnukom i prawnukom. Piłkarki na 300 tys. funtów tygodniowo nie mogą liczyć. Wolą zawczasu się zabezpieczać.

Niektóre piłkarki, zwłaszcza z Afryki, przyjeżdżają do uniwersyteckich drużyn, gdzie grają za skromne stypendium (w Europie ok. 1000 euro miesięcznie) i czekają, żeby je zauważył ktoś z potężnych klubów, gdzie – biorąc pod uwagę realia żeńskiego futbolu – płaci się godziwe pieniądze.

W Polsce futbolistki grają dla przyjemności lub dostają jakieś symboliczne grosze. Zawodniczki trzeba prędko fotografować i wysyłać zdjęcia do Muzeum Sportu i Turystyki w Warszawie. Piłkarki należą bowiem do wymierającego gatunku sportowców amatorów.

WOJCIECH MITTELSTAEDT
w.mittelstaedt@op.pl

TRYBUN@ LUDZI

Patryk Vega ostatnią nadzieją.

Facebook ☛

Konrad Owczarek: Jaki kraj, taki Tarantino.

Garden Andrzej: To prawie jakby Pawłowicz była ostatnią nadzieją fitnessu…

Alko-Blog: Teraz zobaczymy, czy to pitbull, czy chihuahua.

Marek Krysiuk: „Władca Sierściuchów: Dwie wieże".

Marek Krysiuk: „Wszyscy ludzie impotenta".

Robert Choinka: Dajcie spokój. Po tym jak zapowiadał „Botoks" jako prawdziwy obraz służby zdrowia w Polsce, chyba tylko debile będą traktować jego filmy poważnie.

Marcin Starnawski: A większość naszego kraju to kto?

Strona www ☛

Mateusz: Pan Vega nie musi być ostatnią nadzieją. Skoro wybraliśmy pana Millera do Europarlamentu, to przecież jesteśmy uratowani.

Forum ☛

Sindbad: Nadzieja matką głupich.

Wypowiedzi pochodzą z forum internetowego tygodnika „NIE" i Facebooka.

SATYRYCZNY TYGODNIK POLITYCZNY REDAGUJĄ:
Jerzy Urban – redaktor naczelny,
Przemysław Ćwikliński, Waldemar Kuchanny, Andrzej Rozenek (zastępcy red. nacz.),
Mateusz Cieślak, Małgorzata Daniszewska, Bożena Dunat, Tadeusz Jasiński, Michał Marszał, Marta Miecińska, Maciej Mikołajczyk, Andrzej Sikorski, Agnieszka Wołk-Łaniewska.
Krzysztof Olejnik, Włodek Kierus (grafika, DTP).

WYDAWCA: „URMA" Sp. z o.o.

ADRES redakcji i wydawcy:
00-680 Warszawa, ul. Poznańska 3 lok. 9,
tel.: 22 848-84-48, 22 848-44-20, 22 848-96-68;
tel./fax 22 849-72-47 i 22 849-72-58.

DZIAŁ HANDLOWY: 22 849-59-38.

INTERNET
http://www.nie.com.pl – także prenumerata internetowa.
E-MAIL NIE@redakcja.nie.com.pl

Współpraca: „Daniszewska i córka s.c."

Materiałów niezamówionych (tekstów, zdjęć, dokumentów) redakcja nie zwraca. Zastrzegamy sobie prawo skracania i adiustacji tekstów oraz listów. Tytuły i śródtytuły wszystkich zamieszczanych tekstów pochodzą od redakcji. Za treść ogłoszeń reklamowych redakcja nie odpowiada.

DRUK: Drukarnia Prasowa S.A., Łódź,
e-mail: sekretariat@dpsa.com.pl

Poczta Polska – prenumerata krajowa:
Infolinia 0-801-333-444, dla tel. komórkowych 438420600
www.prenumerata.poczta-polska.pl

„Ruch" S.A. – prenumerata krajowa:
Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl.
Ewentualne pytania prosimy kierować na adres e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Telefonicznym Biurem Obsługi Klienta pod numerem: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne w dni robocze w godzinach 7°– 17°.
(koszt połączenia wg taryfy operatora).

prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę:
Informację o warunkach prenumeraty i sposobie zamawiania można uzyskać pod nr tel. +48 (22) 693 67 75
www.ruch.com.pl
e-mail: prenumerataz@ruch.com.pl

Telefoniczne Biuro Obsługi Klienta
(koszt połączenia wg taryfy operatora):
• połączenie z telefonów stacjonarnych 801 800 803
• połączenie z telefonów komórkowych +48 (22) 693 70 00

Dystrybutor: Kanada – Vartex Distributing Inc., 3135 Universal Dr. Unit # 3 Mississauga, Ont., L4X 2E6 Canada. Tel. (905) 624-4726.0

Prenumerata elektroniczna:
www.eGazety.pl, www.e-kiosk.pl, www.eprasa.pl, www.nexto.pl
1 numer – 3 PLN, 5 wydań – 15 PLN, 13 wydań – 39 PLN, 26 wydań – 78 PLN, 52 wydania – 156 PLN

Numer zamknięto: **str. 1–16 – 18.06.2019 r.**

eprasa.pl 5baaa01084

(Podczas spotkania pisowców z rządu z pisowcami z Klubów „Gazety Polskiej” premier Morawiecki – jak wiadomo – powiedział, że wszyscy pisowcy są „spadkobiercami starożytnych Greków, Greków wolności, greckiej demokracji”. Październikowe wybory będą zaś „bitwą pod Salaminą”).

Pójdźmy tą drogą:

Flotą polleńską formalnie będzie dowodził Mateos Moravis, ale naczelnym strategiem będzie pochodzący z wyspy Zolibos arystokrata Prezos Yaros. To on wymyśli genialny plan rozbicia przeważających sił wrogów wolności i demokracji. Na ich czele stanie Schetinax – spadkobierca Persów, którzy 2500 lat później wygrają z Pollenami w siatkówkę, a Japończykom i Kanadyjczykom uszkodzą tankowce.

Schetinax zamustruje wojska na stu ciężkozbrojnych łodziach. Każdego, kto będzie wątpił w zwycięstwo, poleci wyrzucić za burtę. Taki los spotka Kosiasa Kamysa, pochodzącego z ludu watażkę wyznającego zasadę różnorodności.

– Jedno jest prawo – powie Schetinax, patrząc, jak Kamysa pochłania morze. – Prawo jedności.

Pollenowie zdołają wystawić tylko trzy triery. Największą będzie dowodził Moravis, dwiema mniejszymi Grek Ziobras i Yaros Ochydia zwany Govinem. Prezos Yaros będzie gardził wszystkimi trzema z powodu ich wrodzonej tchórzliwości, ale nie będzie miał wyjścia – innych dowódców Pollada nie zrodzi.

Prezos Yaros każe postawić sobie tron na skale, by stamtąd – za pomocą gestów dłoni – kierować bitwą.

Pierwszy uderzy Schetinax, wysyłając na pewną śmierć harcownika Falentię, który podpłynie do polleńskich trier i zagra im na nosie. Za taką bezczelność Ziobras poleci go pojmać i ściąć, a głowę wbić na wiosło postawione na sztorc.

Wioślarze Schetinaksa nie rozpędzą łodzi do wystarczającej szybkości. Dowódcy nie ustawią ich z wiatrem. Niektóre utkną na mieliźnie, a te, którym uda się przepłynąć przesmyk, połamią wiosła na przybrzeżnych kamieniach. Mimo to Schetinax wciąż będzie dysponował siłami wystarczającymi do rozbicia trzech polleńskich łodzi. Gdy będzie się wydawało, że lada chwila zada decydujący cios, Prezos Yaros opuści lewą dłoń i uniesie prawą.

Na ten znak ukryci wśród skał hoplici rozwiną na brzegu wielki, tkany przez wiele tygodni sztandar z napisem: „Każdy, kto teraz opuści Schetinaksa, dostanie pięćset złotych drachm”.

Zapanuje chaos, jakiego w tych stronach nie widziano od wieków. Wioślarze porzucą wiosła i wpław ruszą w kierunku sztandaru. Podobnie uczynią wojownicy, którzy pozbędą się zbędnych zbroi i mieczy.

Prezos Yaros zatryumfuje. Schetinax zaś postawi samotny biały żagiel na niewielkiej łódce i odpłynie tam, gdzie pieprz rośnie.

PRZEMOS CVIKLOS
pcwikla@redakcja.nie.com.pl

BLOG WSZYSTKICH ŚWIĘTYCH

by blagier Urban

Świętej Iwony

W Ogrodzie Różanym przy Białym Domu ujadając na Rosję, Duda odróżnił Polaków od Rosjan, stwierdzając, że w trakcie II wojny my, a nie oni, byliśmy narodem najbardziej bohaterskim. Gdyby nasz prezydent dosięgał jaj Putina, byłby to najboleśniejszy z możliwych kopniak w te jądra. Rosjanie zbudowali swoje państwo i spójność społeczeństwa na kulcie poświęceń i heroizmu objawionych w tamtej wojnie. To oni przecież wygrali w Stalingradzie, na Łuku Kurskim i zajęli Berlin. To oni stracili 20 milionów poległych, trzy czwarte wszystkich ofiar działań zbrojnych w II wojnie. Duda zaś przelicytować ich chce taką drobnicą jak kilkusetosobowe Westerplatte i przegrane powstanko warszawskie. Trump mitygował więc antyrosyjską pyskówkę gościa niemającą aktualnego pretekstu. Poza tym on lubi pokazywać się z polskim prezydentem. U boku zadowolonego z siebie chłopaczka Dudy Trump wyrasta na męża stanu. Dziewczyny też dobierają sobie do towarzystwa jeszcze brzydsze od siebie koleżanki, gdyż wtedy dzięki kontrastowi zyskują na urodzie.

Świętego Dezyderego

W Warszawie wmurowano kamień węgielny pod budowę pomnika premiera Jana Olszewskiego. Główną jego zasługą była krótkotrwałość rządzenia. Będzie to pierwszy mój kolega na pomniku. Historyk czyszczący przeszłość, Tadeusz Płużański, wymieniając zasługi przyszłego posągu, pomija to, że Olszewski debiutował politycznie w „Po prostu”, gdzie razem pracowaliśmy i piliśmy. Tygodnik ten w latach 1955–1957 próbował oczyścić i pogłębić socjalizm oraz dyskutował z katolikami z pozycji ateistycznych antagonistów religii. Jan przewodniczył też kongresowi rewolucyjnej młodzieży zwołanemu do Sali Kongresowej w Pałacu Kultury. O tak grzesznej przeszłości przyszłego lustratora czerwonych dziś pisowcom nie wolno wspominać.

Świętej Mileny

Witold Gadowski w „Gazecie Polskiej” ostrzega przed ingerencją służb Rosji i Izraela w polskie wybory posłów i senatorów. No, owszem, Izrael jest regionalnym minimocarstwem, ale nie w naszym regionie. Mosad nie jest zaś aż tak sprawny, żeby rozpoznać i poprzeć Żydów wśród kandydatów opozycji. W XXI w. rozporki niczego już nie mówią o rasie. W polskiej polityce nie ma obrzezanych.

Świętej Zuzanny

Przestałem czytać w prasie o pedofilii w Kościele i o sprzyjających jej biskupach. Pieprzenie dzieci być może nigdy się nie nudzi jako czynność, ale jako temat owszem. Katolicy uprawiają kult rodziny, chociaż ojcowie są najczęstszymi kochankami swoich dzieci. Po prostu zwykłych ojców, których wkładem w dziecko bywa sperma, mamy wielokrotnie więcej niż ojców duchownych wszczepiających dzieciom wiarę, co nie wyklucza też wytrysków nasienia.

Świętej Pauli

13 czerwca Daniszewska i ja obchodziliśmy 33. rocznicę ślubu. Biorąc go, ona miała właśnie tyle lat, ale wyglądała młodo. Ślub odbył się o pierwszej po południu. W przedślubny poranek wstałem z łóżka, żeby zmieściły się w nim piwonie, którymi ją obłożyłem zamiast sobą. Na pamiątkę tego zdarzenia w roku 2019 zamówiłem te same kwiaty za całe 500 zł i dałem je żonie, a ona zapłaciła rachunek kwiaciarni. Dałem jej piwonie tylko symbolicznie i umownie, gdyż ważyły kilkadziesiąt kilogramów. Na tym skończyły się obchody ze względu na panujące upały i na komary, które je lubią. Na podstawie 35 lat obcowania z Daniszewską stwierdzam, że nawet wplątany w nie ślub nie zabija uczuć. Dotyczy to jednak wyłącznie życia z Daniszewską i z żadną inną. Upewniają mnie o tym moje poprzednie małżeństwa i liczne dawne związki bezślubne. 33 lat temu w prezencie ślubnym żona dała mi listę tych swoich kochanków, których zapamiętała. Było ich 57, ale tylko dwóch nadal za nią łazi. Zrewanżowałem się jej listą kochanek, które pamiętałem. Było ich zaledwie 35, a miałem już w dniu ślubu 53 lata. Wstyd.

Świętej Marianny

Minionej nocy obudziły nas 3 burze, a 2 razy komary, które przed nimi uciekały do nie swojej sypialni. Błyskawice i grzmoty nasze koty traktują spokojnie. Tchórzliwe są psy. Azor uciekł przed burzą do naszego łóżka i trzeba go było uspokajać przymilnymi słowami pocieszenia i głaskaniem. Chodził za mną nawet do klozetu w nadziei, że tam nie grzmi. Nasze sracze mają jednak okna, więc się przejechał. Karmiłem go pieczoną kaczką, żeby odwrócić uwagę pudla od okoliczności przyrody. Daremnie. Czując trwogę, odmawiał żarcia, wolał, żeby piorun go trafił z pustym żołądkiem.

Świętego Augustyna

Politycy PO ubolewają nad tym, że restauracyjne nagrania ich rozmów, dokonanie na zlecenie Falenty, pomogły im przegrać wybory w 2015 r. Teraz zaś rewelacje ogłaszane przez tego więźnia mające skompromitować Kaczyńskiego, jego ludzi i ich służby specjalnie jakoś w ogóle PiS-owi nie szkodzą. Uważam, że dzieje się tak dlatego że ludzie z rządzącej przed rokiem 2015 koalicji PO–PSL intensywnie obrzydzali Falentę. I odnieśli w tym sukces, co sprawia, że teraz Polacy nie wierzą Falencie, który zmienił front i jebie dla odmiany PiS.

Świętego Jaromira

Nie zabiłem 10-letniej dziewczynki, która szła przez las na Dolnym Śląsku i cieszy się teraz rozgłosem jako zwłoki. Przynajmniej nie pamiętam, żebym ją zamordował. Dlatego nie dotyczy mnie wprowadzona przez PiS kara dożywocia bez warunkowego zwolnienia. Nie prowadzę już samochodu, nie mogę więc nikogo przejechać. Z dziećmi nigdy nawet nie rozmawiałem i przeganiałem je od siebie, raczej więc nie byłem pedofilem. Wobec tego zaostrzanie przez PiS kar mnie nie dotyczy. Zdolny jestem natomiast do krytyki reformy prawa karnego dorzucić argumenty, których nie było w „Wyborczej”. Bezwzględne dożywocie jest odebraniem skazanemu nadziei, a ta stanowi prawo człowieka. Ktoś, kto dostał taką karę, może w więzieniu bezkarnie mordować, gdyż nic więcej niż dostał już mu nie grozi.

Świętego Wita

Komary są gorsze niż Kluby „Gazety Polskiej”. U nas w Konstancinie przejęły władzę. Uwięziły nas w domach za zamkniętymi oknami. Przyszła fryzjerka, która ogoliła do skóry nasze psy. Wraz z sierścią straciły ochronę przed krwiopijstwem i ich wychodzenie na siku i kupę stało się bohaterstwem. Bohaterski naród polski traci zaś tę swoją właściwość, nie stawiając czoła komarom. Polacy stosują zawsze tchórzliwe działania obronne, bojąc się ofensywnych. Wobec Hitlera i Stalina byliśmy odważniejsi, niż wobec małych owadów. Naród zszedł na psy.

Świętej Tekli

Odwiedziła mnie piękna koleżanka dawniej z „NIE” o imieniu Malina z zawodową ekipą utrwalaczy obrazu i dźwięku. Przeprowadziła godzinną rozmowę do internetu o mojej starczej impotencji. O seksie nigdy w życiu tak długo nie rozmawiałem. Niedostatki są ciekawsze niż przesyt. □

sekr@redakcja.nie.com.pl

PRZYGODY JARKA NIEZDARKA ODC. 52

Rys. RYSZARD DĄBROWSKI

eprasa.pl 5baaa01084